MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 52. | WARSZAWA, 22 GRUDNIA 1935 R. | CENA NUMERU 80 GR.

WYROK OPINJI

Opinja... waży w społecznym gmachu jako spoidło główne, jako więźba".

Wł. Orkan

PARĘ miesięcy temu, w wychodzącem teraz zbiorowem wydaniu „Dzieł" Orkana — ukazały się poraz drugi „Listy ze wsi". Miałem o nich napisać coś do „Myśli Nar.", ale przy czytaniu tej tak do dziś nieprzestarzałej książki (a czas szybko teraz leci) nasunęło mi się tyle refleksyj, że postanowiłem zrobić inaczej, — nie pisać jakiegoś jednego, omawiającego artykułu, ale poprostu te wszystkie tematy, które Orkan uważał za ważne, a które i dzisiaj są żywe — raz jeszcze poruszyć. W ten sposób coprawda nie będę mówił o Orkanie, ale będę mówił o tem, o czem on chciał, aby mówiono, co chyba stanowczo lepsze. Zacznę od czegoś, co ostatecznie nie bardzo jest „orkanowe", bo od opinji.

Sprawa to ważna i warta poruszenia, zwłaszcza, że dziś może szczęśliwie aktualna. Nie można bowiem nie dostrzec, że brak silnego i pewnego sądu opinji zaważył zgubnie na ostatnich okresach dziejów Polski, a nawet na dniu dzisiejszym. Opinja na szereg faktów nie reagowała wcale, albo reagowała za słabo, nauczono się więc ją lekceważyć i nie słuchać jej głosu; — rozluźniły się też obyczaje, bo wiedziano, że się nie napotka jej sprzeciwu, albo że ten sprzeciw będzie tak nieśmiały, że można go będzie nie wziąć pod uwagę.—To też jeśli dzisiaj już sytuacja zaczyna zmierzać ku poprawie, to przedewszystkiem dlatego, że z powrotem powstaje wyraźny, bezkompromisowy, oparty o katolicką filozofję sąd opinji. Jeśli. żeby te rozważania bardziej powiązać z Orkanem, — wieś jest zdrowsza moralnie od miasta, to znowuż nienajmniejszą z przyczyn tego jest, że istnieje tam ferujący ostre nieraz wyroki sąd opinji, jakiego w mieście brak, bo — „zrozumieć to przebaczyć".

Tyczasem to nieprawda. Przebaczenie to coś całkiem innego, niż usunięcie się od sądu, bo ono musi być poprzedzone stwierdzeniem winy, a więc wyrokiem. Tego zaś, myśląc o tych słowach, wcale się nie robi, tylko topiąc rzecz w szumnych frazesach o humanitaryzmie i „ludzkości", stwierdza się, że ostatecznie już nic nie wiadomo, że trudno kogoś o coś winić... Zapewne, że gdy brak kryterjów moralnych, to i brak winy, ale sam zdrowy rozsądek wskazuje, że — bez względu na okoliczności — czarne musi być czarnem, a zło złem...

Jeśli więc gdzie brak surowej i jednolitej opinji, to jest to groźny objaw choroby społeczeństwa, które nie wie jak żyć i jaką zasadą się kierować. U nas choroba ta (zwłaszcza w pewnych sferach) jest powszechna — i nie jest tu winą sama tylko miękkość charakterów polskich, jak to się często opowiada, ale także i wiele celowych dążeń i wysiłków, zmierzających do rozkładu naszych sił społecznych. Ostatecznie, rządy masonerji są wykluczone w kraju, gdzie jest odwaga cywilna, cnota obywatelska, wierność swoim zasadom i ta powszechna świadomość, że nikt na czarne nie tylko że nie ośmieli się powiedzieć — białe, ale nawet i szare.

Społeczeństwo, wychowane po katolicku i tkwiące swemi korzeniami w kulturze katolickiej, ma

jakby wrodzone poczucie, że sąd opinji istnieć musi, że jest to prosta konsekwencja głosów sumienia. To też, by to naturalne poczucie omotać i przytłumić, uciekano się do najrozmaitszych środków. Raz opowiadano, że na dobrą sprawę nie wiadomo co jest złe, a co dobre; to znów, że człowiek ma zupełną wolność swych czynów, że wszystko wolno; to dla odmiany, że złu nie trzeba się sprzeciwiać, że dosyć jest się troszczyć o swoje sprawy..., czy, bardzo po katolicku, że należy wszystko przebaczać i nie sądzić nikogo, pamiętając o ułomnościach własnej natury, — nadto rozbudowano cały system okoliczności łagodzących, aby jeśli już niemożebne było uniknięcie stwierdzenia czyjeś winy, móc ją zawsze osłabić, jakiemś — „on tego nie chciał", „on nie zdawał sobie sprawy", „jemu doradzono", „on żałuje"... Zapominano tylko o jednem, że na te wszystkie tłumaczenia łatwo bardzo znaleźć odpowiedź, bo — cóż z tego, że nie chciał, kiedy zrobił, — przecież powinien sobie zdawać sprawę, — powinien sam wiedzieć co ma robić i tak bez końca. Wszelkie zaś sofizmaty o nie sądzeniu nie były niczem innem jak okłamywaniem siebie i tego nieodpartego przekonania, że ze złem należy walczyć, a występek ganić.

To też wszystkie te nauki nie odniosłyby chyba skutku, gdyby sobie do pomocy nie wzięto Ewangelji, fałszywie ją interpretując. Ludzie nic z nią nie mający wspólnego, a nawet wyznający zasadę odwetu, najczęściej może na nią się powoływali. Licznemi tekstami Ewangelji, mówiącemi o przebaczeniu i darowaniu, operowano tak sprytnie i przewrotnie, że zdołano ukryć ogółowi jej prawdziwą myśl, podsuwając jakieś ckliwe umywanie rąk od wszelkich sądów, a jeszcze lepiej, cudzych spraw i uczynków. Wywołano tu nieprawdopodobny wprost chaos, który warto rozpatrzeć.

Przedewszystkiem należy jasno zdawać sobie sprawę, że zupełnie co innego jest darowanie komuś winy — a co innego rozgrzeszenie, a raczej uniewinnienie. O ile pierwsze ma za podstawę kategoryczne stwierdzenie winy, a więc sąd — o tyle przy drugiem tego niema. Tam jest — jesteś winien, ale darowuje ci się; tutaj—nie jesteś już winny [1]), a to są całkiem inne rzeczy. Otóż Ewangelja zachęca tylko do przebaczania, — rozgrzeszenie jest rzeczą Boską i do ludzi nie należy, oni tylko mogą (i powinni) sobie swoje winy darowywać.

Skoro zaś darowywać — to musi być wyrok, musi być stwierdzenie występku i o tem trzeba pamiętać. Trzeba też pamiętać, że te wszystkie miejsca Ewangelji, ile ich jest, mówiące o darowaniu — mówią tylko o stosunkach między jednostkami, a nigdy o społecznych. Mówią też o tem, że modlitwa musi być poprzedzona darowaniem, że przed nią trzeba się pogodzić ze swym bliźnim, a więc wprowadzają darowanie w stosunki między jednostką a Bogiem, ale nigdy między jednostką a społeczeństwem. Jeśli o te stosunki chodzi, to jest tylko jedno jedyne miejsce, gdzieby się tego można dopatrzeć, a to błogosławieństwo: „Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą, i prześladować was będą, i mówić wszystko złe przeciwko wam"... (Mat. X, 11), ale i tu raczej chodzi o jednostkę, bo o jej gotowość zniesienia w imię Boże krzywd wyrządzonych jej przez ogół, o co także chodzi w dalszym ustępie o miłowaniu nieprzyjaciół. Natomiast wszystkie ustępy, mówiące o stosunkach społecznych, są pełne surowości — a jak Ewangelja ocenia grzech społeczny, niech zaświadczą te pełne grozy słowa o gorszycielach: „A ktobykolwiek zgorszył jednego z tych maluczkich, wierzących we mnie, lepiejby mu, iżby był uwiązany młyński kamień około szyi jego i był rzucony w morze" (Mat IX, 41).

Następnie oczywiste jest, że darowywać można tylko krzywdę własną, a nigdy kogoś innego. Nie może więc jakaś jednostka darować drugiej przewinienia względem społeczeństwa, — może co najwyżej darować jej swoją cząstkę winy, i przez pamięć na własną niedoskonałość wyrzec się swego osobistego prawa do potępiania i karania, zostawiając to Bogu i społeczeństwu i o to chodzi w odnośnem miejscu Ewangelji (Jan VIII, 7), którego nigdy nie należy interpretować tak, jakby społeczeństwo nie powinno się bronić przed złem i nie miało prawa karać. Obroną zaś społeczeństwa przed złem jest przedewszystkiem zapobieganie zgorszeniu, jakie ono wywołuje, a na to jedyną bronią jest zdecydowane potępienie zła, jasne wytknięcie: to jest złe — tak nie rób!

Tu pora także rozpatrzeć wszystko to, co się u nas mówi o okolicznościach łagodzących, a co nie zawsze jest właściwe. Nie jest bowiem właściwe przyznawanie im waloru społecznego, one są, ściśle biorąc, tylko między jednostkami, czy też jednostką a Bogiem. W życiu społecznem, gdzie rzeczy trzeba brać objektywnie, są właśnie czemś najgorszem. Opierają się o wady, dalekie wprawdzie od jakiegoś demonizmu złej woli, ale specjalnie szkodliwe, gdy chodzi o ogół: bo lekkomyślność, słabość i tchórzostwo, a więc przywary, które niby niechcący sprowadzają dużo zła i których zwalczanie jest możliwe jedynie przy bezwzględnej i surowej opinji. Tylko w niej słabość znajdzie oparcie, tchórzostwo jej się zlęknie, a obawa przed nią skłoni do zastanowienia. Tymczasem dzisiejszy system skwapliwego rozgrzeszenia,

[1]) Nie chcę tu mieszać dwu rzeczy: pochodzącej od Boga władzy kapłana w konfesjonale i znaczenia, jakie ma słowo „rozgrzeszać" w mowie potocznej. Kapłan przy spowiedzi odpuszcza grzechy w imię Boże, kasując w ten sposób winę — czego żaden człowiek zrobić nie potrafi, to nie jest sąd, ale akt specjalny. U nas, gdy się mówi o rozgrzeszeniu, ma się na myśli podobne zachowanie się społeczne, co oczywiście jest niewłaściwe.

gdy ktoś nie chciał, lub chciał jaknajlepiej — mnoży tylko te przywary, zapewniając im już nietylko bezkarność, ale zgoła współczucie.

Z tego wszystkiego, co napisałem, jasno chyba widać, co należy sądzić o psychozie uniewinnia i wstrzymywania się od sądów, — nie umniejsza to jednak w niczem wielkości przebaczenia, bo prawdziwe przebaczenie ma zawsze nawskroś dodatnie skutki, i to skutki społeczne, skoro każda jednostka do społeczeństwa należy.

Aż komunałem jest twierdzenie, że zło rodzi zło, a dobro dobro, nie sposób jednak tego komunału nie powtórzyć, myśląc o przebaczeniu i porównując je z zemstą. O ile zemsta na krzywdę reaguje krzywdą i w rezultacie zabija wyrzut sumienia, zastępując go przeświadczeniem, że obie strony są winne, że się wszystko skwitowało,—o tyle przebaczenie, nie oddając złem za złe, a przeciwnie dając już dobro przez samo nie mszczenie się, zostawia po jednej stronie całe poczucie niezmniejszonej niczem winy, całe zestawienie rażącej dyspropocji postępków i co za tem idzie już nie głos, ale wręcz krzyk sumienia, domagający się naprawy i poprawy. Dźwiga więc jednostki wzwyż: jedną przez zwyciężenie naturalnej, odruchowej urazy, — drogą przez pokazanie właściwej drogi. A lepsze jednostki dają w rezultacie lepsze społeczeństwo.

W ostatecznej więc konkluzji — opinja powinna być surowa, ale ludzie powinni sobie wybaczać, a nie jak dzisiaj — opinja nie sądzić, a ludzie się mścić.

KAROL STEFAN FRYCZ

TWORZENIE NARODU i PAŃSTWA

OKRES destrukcji i utraty pamięci historycznej, rozpoczęty w połowie XVIII wieku i wszechwładny zarówno w epoce romantyzmu, jak i pozytywizmu, zbliża się ku końcowi, a w każdym razie antyhistoryczny, „demoliberalny" i pozytywistyczny prąd słabnie w ośrodkach intelektualnych zachodnio-europejskich. Przez prawie 200 lat starano się oderwać od naturalnego, niewyrozumowanego procesu dziejowego; jako wzory stawiano państwa nowe (Stany Zjedn. Am. Półn.), albo w najlepszym razie, zamierzchłe, legendarne ustroje państw starożytnych (Grecja i Rzym), pojęte według komentarzy Plutarcha.

Tembardziej więc, w epoce znacznego chaosu pojęć, potrzebne jest u nas zaznajamianie się z francuską literaturą historyczną i polityczną, która jest wyrazem poszanowania tradycyj narodowych, gdyż u nas, z jednej strony, zadużo jest wpływów intelektualnych niemieckich i rosyjskich, a z drugiej strony, wśród, t. zw. inteligencji zachodnio-europejskość przyjęła się w fałszywem znaczeniu w postaci prądów, które w wieku XVIII i XIX panowały na zachodzie, ale zwalczając tradycyjną zachodnioeuropejską cywilizację.

Charles Benoist, wieloletni poseł do parlamentu, b. ambasador i członek *Institut de France*, dał możność zapoznania się z wielką łatwością z prawidłami francuskiego, historyczno-tradycyjnego życia politycznego w dwutomowem dziele pod tytułem: „*La monarchie française*". W pierwszym z tych tomów znajdujemy przedstawienie procesów, które doprowadziły do stworzenia terytorjalnej, narodowej i moralnej jedności francuskiej; ta francuska jedność, osiągnięta dzięki monarchji, podbiła pokojowo całą Europę, rozszerzała się na cały świat, nie potrzebując ani takich wojen, jak Wielka Rewolucja, ani takiego przymusowego systemu federacyjnego, który starał się urzeczywistnić Napoleon, a teraz Liga Narodów, ani takiego ciągłego zamętu i przewrotów wewnętrznych, których świadkami był wiek XIX i początek naszego stulecia. Stworzenie narodu i państwa francuskiego zostało dokonane przez upartą i czynną wolę na podłożu sprzyjającem, na którem jednak, bez tej woli, cywilizacja francuska nie zakwitnęłaby. Na geograficznie stosunkowo dobrze określonem terytorjum, znajdowało się przeszło dwadzieścia różnorodnych narodowości, których zespolenie w jedno państwo i naród było dziełem czterdziestu królów, z których połowa czyniła ciągle kroki naprzód w zamierzonem dziele, połowa zaś zachowywała i pogłębiała osiągnięte wyniki. Przez kupno, zamianę, dziedziczenia, posag, konfiskatę powiększało się terytorjum królestwa francuskiego; Filip August, Ludwik XI i Ludwik XIV, to byli najwybitniejsi przedstawiciele i twórcy nietylko ram dla cywilizacji francuskiej, ale całej tej cywilizacji. Wprawdzie apanaże członków rodziny królewskiej, stosowane tak, jak to u nas zrobił Bolesław Krzywousty, powstrzymywały proces zjednoczenia, ale przychodzenie do tronu bocznych linij ze swojemi apanażami i powrót do korony apanażów linij bez przedstawicieli męskich, umożliwiły pomiędzy r. 987 i 1768 powstanie Francji. Wojny przeciw feodalizmowi i wojny religijne toczyły się w sprawie terytorjalnej jedności francuskiej; przedmiotem stuletniej wojny z Anglją, była taż sama sprawa; to twierdzenie Karola Benoist należy uzupełnić uwagą, że wojny religijne toczyły się o jedność intelektualną i moralną Francji. „*Un roi, une loi, une foi*" było pisane na bramach miast francuskich, jako dewiza zjednoczenia narodowego i państwowego. Jednak fałszywe—zdaniem autora—jest twierdzenie, jakoby rewolucja i Napoleon urzeczywistnili plan królów francuskich w sprawie terytorjalnej i co do unifikacji wewnętrznej; imperjalizm rewolucyjny i napoleński dokonywały zadań, których państwo francuskie stawiać sobie nie potrzebowało i nawet nie mogło, o ile nie chciało stracić swojej indywidualności; centralizm rewolucyjny i napoleński, zniweczenie samorządu terytorjalnego i zawodowego oraz rodziny (Kodeks napoleoński) także sprzeczne były z naturą tradycyjnej monarchji, która opierała się na zróżniczkowanem społeczeństwie.

Uważa też Benoist, że jedność francuska osiągnęła doskonałość, a monarchja francuska swoje *apogeum* już za Ludwika XIV, z czego zresztą nie wynika, aby Francja w dalszym ciągu nie rozwijała się po linji tradycyjnej, z której ją dotąd

wykolejają ustroje od r. 1789, narzucane przemocą przez nie liczące się z niczem mniejszości.

Jedność moralna Francji została wyrażona w maksymach fundamentalnych, którym nikt przed Wielką Rewolucją nie przeczył. Maksymy te, w liczbie 22, wylicza p. Benoist w swojej książce według dzieła Piotra de l'Homman, wydanego w r. 1655 p. t. „*Maximes générales du droit français*". Wśród tych maksym godna podkreślenia jest ta, która odróżnią monarchję „królewską" od innych monarchij; w tej monarchji „królewskiej" król ma własne prawo wymierzania sprawiedliwości, kto inny zaś posiada je tylko przez delegację od króla; wola królewska jest prawem; tylko król nakłada podatki oraz decyduje o wojnie i pokoju; według jednej z „maksym fundamentalnych" wszystkie kopalnie drogich metali należą z prawa do monarchy. „Cała monarchja francuska", stwierdza Charles Benoist, „jest w tych dwudziestu dwu maksymach wraz ze swym charakterem i historją". Zasadnicze cechy ustroju francuskiego opisał Macchiavelli w dziełku „*Rittrati della cose delle Francia*". Nie będąc dobrze usposobiony dla Francuzów, podziwia jednak Machiavelli dzieło, osiągnięte już za jego czasów przez francuską monarchję „królewską". Benoist przytacza konkluzje Macchiavelli'ego, według których przyczynami powstania silnego państwa francuskiego były: *primo:* dziedziczość tronu z wykluczeniem kobiet, *secundo.* przedsiębiorczość monarchów, *tertio:* zniknięcie pośrednich mniejszych państewek, które leżąc na granicy francuskiej, sprzymierzały się przeciw Francji z potężnemi, dalej leżącemi państwami, *quarto*: wygaśnięcie wielkich rodów feodalnych, mających pretensje do odrębnej suwerenności, *quinto*: prawo starszeństwa przy dziedziczeniu. Mapy, statystyki i chronologje, podane w pierwszej części książki p. Benoist, zatytułowanej: „Dzieło królewskie" („*Oeuvre royale*") unaoczniają laikowi ogrom trudów, których podjęła się trzecia dynastja monarchów francuskich (Kapetyngowie po Merowingach i Karolingach).

W drugiej części swoich studjów podał Benoist charakterystykę kilkunastu wybitniejszych królewskich twórców narodu i państwa francuskiego, zaczynając od Ludwika Grubego, a kończąc na Ludwiku XIV. Charakterystyki, które znajdujemy w książce Benoist, nie pochodzą od niego. Autor uznał za rzecz pożyteczniejszą, niż charakteryzowanie od siebie, zaznajomić z charakterystykami, pochodzącemi od wybitnych osobistości, które żyły w epoce tworzenia się i dojrzewania Francji. Do Ludwika XI włącznie, nakreślił Benoist sylwetki monarsze według dzieła Bernarda du Haillan pod tyt: „*De l'Estat et succez des Affaires de France*", wydanego w r. 1594 późniejszych królów charakteryzuje Benoist, przepisując opinije ambasadorów weneckich, najwybitniejszych dyplomatów owego czasu, których nadzwyczajna bystrość szła w parze z malowniczym sposobem wyrażania się. Średniowiecznych monarchów francuskich najlepiej charakteryzuje następujący wyjątek z dzieła du Haillan'a: „Otóż Król Ludwik, widząc się starym i czując, że śmierć się zbliża, kazał przybyć z kraju Gaskonji swojemu synowi Ludwikowi i w obecności największych panów wezwał go, aby panował świętobliwiej i sprawiedliwiej niż on sam, aby zachowywał przepisy religji swoich przodków, szanował i strzegł duchownych, wspierał biednych i sieroty, aby starał się z wielką pilnością o zachowanie praw, o powagę i dostojeństwo władzy publicznej i o powszechny pokój; przedstawił mu król, że królowanie jest tylko obowiązkiem publicznym, danym tymczasowo, z którego trzeba zdawać sprawę po śmierci przed Sędzią Przedwiecznym, wynagradzającym każdego według jego zasług", Ciekawa jest charakterystyka Jana II, którego panowanie było jednem z najnieszczęśliwszych. Jan II, pomimo swojej niezwykłej lekkomyślności, pomimo klęsk w wojnie z Anglją, jest jedynym z czterdziestu Kapetyngów który otrzymał przydomek: „Dobrego". Nadając ten przydomek królowi, który był więziony po klęsce w Londynie i który tam później dobrowolnie wrócił, aby zobaczyć piękną hrabinę Salisbury, lud francuski wziął pod uwagę wyłącznie moralny stosunek króla do państwa i do ludzi państwu służących. Du Haillan, w ustępie przytoczonym przez Benoist'a, stwierdza, że Jan II, nie odmawiając Anglikom olbrzymich haraczów pieniężnych, stanowczo odmówił poddania królestwa francuskiego Anglji, choćby za to jemu, jego synowi i dworzanom groziła śmierć, gdyż „nie cenił tak ani swojego życia, ani życia syna i panów, którzy z nim byli i którzy wszyscy są śmiertelni, jak godności i wielkości Francji". Galerja portretów, nakreślona według sprawozdań ambasadorów weneckich, zakończona jest portretem Ludwika XIV, zrobionym przez kilku dyplomatów, najlepszych w owej epoce przedstawicieli swojego zawodu. Wszyscy ambasadorowie weneccy podkreślają w swoich raportach o Ludwiku XIV tę okoliczność, że przedewszystkiem umiał on panować nad samym sobą, nigdy się nie unosił, nikogo nie obrażał, umiał świetnie zachować tajemnice, ale nie kłamał i nie oszukiwał; to panowanie nad sobą i szanowanie godności ludzkiej, cechy tak odróżniające Ludwika XIV od Napoleona Bonapartego, podkreśla także Maurras w wydanej niedawno książce: „*Louis XIV et la France*". Ostatnim ambasadorem weneckim w XVII wieku był Mikołaj Erizzo, który w swoim raporcie z r. 1699 pisał: „Król obecnie panujący doszedł do sześćdziesiątego roku swego życia. Majestatyczność jego wyglądu, pilność przy sprawowaniu rządów, gruntowność przy rozważaniu spraw, wojowniczość połączona z niezrównaną uprzejmością wobec tych, którzy mają zaszczyt zbliżyć się do niego, wzbudzają dlań bojaźń i uszanowanie. Nikt sobie nie przypomina, aby go widział rozgniewanym, zawsze zrównoważny we wszystkich okolicznościach, sprawiedliwy, przewidujący i wytrwały, zdobył sobie u wszystkich imię wielkiego".

Charles Benoist stwierdza, że „wielkich królów miała Francja tylko kilku, jednego albo dwóch w ciągu stulecia". Ustrój starej Francji nie starał się o produkowanie ludzi nadzwyczajnych. Zdrowy rozsądek a nie genjusz zbudowały Francję i cywilizację francuską. W dynastji francuskiej byli ludzie lekkomyślni, rozrzutni, zmysłowi, zdarzył się nawet jeden szaleniec (Karol VI), ale „miedzy nimi, poza nimi, zarysowuje się osobistość nie cielesna lecz duchowa, która dlatego, że w tem wszystkiem jest duch, była tylko duszą tych królów, ale ich wszystkich, związywała ich i uczyniła to, co historja nazwała i nazywać zawsze będzie Monarchją francuską".

L. G.

NOCE I DNI

(Ciąg dalszy)

III

POSTAĆ Bogumiła Niechcica wydaje mi się majstersztykiem autorki „Nocy i dni", a to zarówno artystycznym i moralnym: Wziąć zwykłego człowieka, zwykłego, bo ani artystę z bohemy, ani jakiegoś wodza, ani świętego, ani Hamleta, ani donżuana, ani zapaleńca miłosnego, ani bojownika ideałów, ani myśliciela, ani wielkiego pana ekscentrycznego, ani nikogo takiego, ktoby był z jakiegoś tam względu efektowny, normalnego p o c z c i w e g o c z ł o w i e k a, i urobić na ten temat postać, która nie jest nudną, ani mdłą, ani papierowym manekinem na morały, ale jest głęboko zajmującą, a pamiętną przez wyrazistość swoją — to jest nielada sztuka czyli artyzm i to jest — zasługą. Okazuje się bowiem, że i stara cnota może nie być nudną, estetycznie nijaką. Kiedy szukam Niechcicowi jakiegoś najbliższego krewnego, znajduję go w panu Wokulskim; dalszym kuzynem jego byłby może jakiś Dołęga — ale ten o wiele bardziej papierowy, a po stronie niewieścich pokrewieństw — chyba Madzia?... Ale Niechcic jest mniejszy od Wokulskiego i innych społeczników, skoro go miarą społeczną zmierzymy — to człowiek przeciętny, bez szerszych planów, aspiracyj, ambicyj społecznikowskich. Znamy go już trochę z jego wymiany zdań z żoną, gdy jej nie umiał wytłumaczyć, że przystosowanie się do warunków niezawsze bywa oznaką małoduszności; autorka obdarzyła go jedną z najszlachetniejszych ułomności: brakiem wymowy. To jest ten cichy człowiek, który w obecności wymownych samochwałów i w sercach kobiet niedoświadczonych porównywany z takimi, zawsze będzie na szarym końcu. Wszyscy tacy ludzie, którzy nie umieją i nie chcą mówić o sobie, którzy pozwalają, wielkodusznym jakimś wstydem opanowani, by należącą się im chwałę i zasługę rabowali samochwalcy krzykliwi, co im do pasa niedorośli — wszyscy tacy ludzie, z intencją czy bez intencji autorki, otrzymują w postaci Niechcica satysfakcję. Niechcic jako młodziutki chłopiec w powstaniu straszne rzeczy przeżył i tylko się jakby cudem niemal uratował; ale nie umie o tem opowiedzieć swej żonie, która wątpi, czy to jest człowiek zdolny do uczuć wzniosłych. On wie, jak wzniosłość wygląda w praktyce, wie, że wzniosłość jest o wiele straszniejsza i o wiele bardziej szara i przyziemna, niż o tem wiedziały poetyczne panny jego epoki; gdyby umiał i chciał, mógłby o tem mówić i okryć się aureolą; ale on jakoś żenuje się zapewniać, że i on należy do bohaterów; woli raczej znosić w ciszy i długie lata niesprawiedliwość od kogoś, na kim mu jedynie zależy. Wyrzucony w życie przez burzę dziejową jako odpadek, bledniеje, proletaryzuje się doszczętnie, jest prostym robotnikiem, szkół nie kończy i dopiero w dojrzałym już wieku dobija się skromnej posady rządcy, ale żadnych pretensyj nie ma ani do swego społeczeństwa, ani do losu, ani do swego byłego środowiska społecznego, co go już przestało traktować jako jednego ze swoich: szary bohater, nawet nigdy nie podejrzewający, że jest bohaterem.

Marja Dąbrowska nie wyposaża swego Niechcica w cnoty niezwykłe na drogę między czytelników: Bogumił ma swoje słabostki, nie jest kamieniem dla kobiet, ale nie ma „stosuneczków"; gdy wszedł w romans z prostą dziewczyną, nie ona, tylko on opuszczał ten stosunek z poczuciem smutnem, że kończy się jakaś sprawa na serjo, jakiej się nie lekceważy. Bogumił lubi towarzystwo, lubi zjeść i napić się, ale nie utraci nigdy humoru, jak mu przyjdzie biedować. Nie z zasady, tylko taki już jest. Z podwładnymi nie pieści się, ale jest im życzliwy i troskliwy o nich, choć i kiedy trzeba rachować się, to się rachuje. Nie pcha się między wyższych, ale i nie gnie się przed nimi. Robi co do niego należy, kiedy tylko może być dobrym jest dobrym, kiedy zrobił swoje, już więcej nie trapi się. Autorka „Nocy i dni" chciała okazać i okazała na wielkiej ilości rysów, którymi maluje Bogumiła Niechcica, jakiem błogosławieństwem dla życia jest dobrotliwy i uczciwy zdrowy rozsądek — ale tak jest wtedy, gdy w duszy jest determinacja do dobrego tak silna, że na dnie jej czeka gotowość już bohaterska. Niechcic to człowiek zwykły, co nie szuka poświęceń, on woli się bez nich obchodzić, ale kiedy koniecznie trzeba, to poświęcenie przychodzi mu może nawet nie łatwo, ale tak poprostu jak codzienny, nieunikniony obowiązek. Taki Niechcic to prosty, bezpretensjonalny, szary żołnierz w cywilu. Ale żołnierz z zamiłowania; jest w nim tyle jakiejś, życzliwej wszystkiemu co żyje i co istnieje, energji, że z dobym humorem, cierpliwie, sumiennie spełnia wszystko, co w danej chwili spełnić należy, a ten dobry humor i pogodę wnosi między wszystkich, z którymi się styka. Jest dobry przez prostą — jakby wedle recepty na dobroć filozofa witalisty — rozlewność swej energicznej pogody, czy pogodnej energji. Choć mógł u tych, co go lepiej nie znali, uchodzić za „pospolitego zjadacza chleba, może nawet filistra i zaściankowca" — nie był „przystosowującą się do ladajakiej formy życia siłą roboczą — on wchodził w związek ze wszystkiem tem, co w najpospolitszem życiu jest wiekuiste i boskie. Umiał jakoś znajdować drogę do tej strony życia, chociaż to czynił w milczeniu i w pokorze, obywając się bez głośnego wyznania wiary, nie pozwalając sobie na górnolotne ideje" — tak charakteryzuje go autorka ustami jego córki — a jest w tej charakterystyce jakaś serdecznie autentyczna powaga... „Boskie i wiekuiste w najpospolitszem życiu" — to chyba ta dobra wola, która wszystko, co los zdarzył, bierze jako obowiązek i sposobność, żeby z tego kawałka szarej materji losu zrobić coś choć trochę lepszego. Między człowiekiem a rzeczywistością jest jakaś tajna, choć trudna, „p r z e d u s t a w n a h a r m o n j a" (wyrażenie recenzenta)... Trzeba tylko mieć wolę do rzeczywistości, nie umykać się jej. Przy dobrej woli zawsze może być choć trochę lepiej — a człowiek, choćby najprostszy, jeśli tylko tak usiłuje — jest człowiekiem bożym. Tak zdaje się brzmieć piękny w swej najprostszej prostocie morał, którym mówi konkretnie, do uczuć i wyobraźni, postać Bogumiła Niechcica.

Coprawda, krytykowi, którego, jak powie

dziano raz, „naturalną postawą", jest „niezadowolenie", otóż krytykowi odrazu narzuca się uwaga, że bądź co bądź Niechcicowi autorka ułatwiła nieco życie, że rzeczywistość, którą mu dała, aby się na nią zgodził, nie była z tych najtrudniejszych. Naprzód, ta żona, jaka była taka była, dała mu się porządnie we znaki swemi humorami i nie zaznał przy niej miłości serdecznej, ale autorka nie oszpeciła jej pospolitością, nie uzbroiła jej przeciw Niechcicowi w nic, coby mogło być obrzydliwem lub hańbiącem dlań, ustroiła ją w jakiś wdzięk wykwintu duszy. Następnie, dała jemu fizyczne walory, zdrowie, smukłą postać, zgrabne „długie nogi", ogorzałe męskie oblicze, dzięki którym zaletom łasiły się doń... pociechy, wreszcie i to jego „pańskie" pochodzenie, acz niezmiernie daleki był od przywiązywania doń większej wagi i jakiegokolwiek chełpienia się, też jako tako ułatwiało mu życie. No i ta praca wiejska, w powietrzu szerokiem, praca w butach po kolana i na koniu, praca luba potomkowi rolników — a bądź co bądź nie fizyczna i służebna — to wszystko, wreszcie życie na tle wielkiej ciszy przestworu, która koi rozprószenie nerwowe, życie skromne, ale tą skromnością, przy której nie brak nigdy chleba na jutro, ani nawet rubasznych pociech spiżarni zaopatrzonej w przysmaki wiejskie, których woń perswaduje, że życie jest nie takie złe... W atmosferze tej w wiejskiem powietrzu jest trochę pogody i humoru, który się udziela nawet smutnym — którego nieco jest w tej książce. Odwróćmy to wszystko, dajmy Bogumiłowi jego charakter, ale odbierzmy mu te wszystkie małe przywileje; rzućmy jakiegoś dumnego człowieka w stosunki upadlające, gdzie trzeba się zgiąć we czworo i tylko milczkiem gryźć obrożę, aby nie stracić zarobku, z którego utrzymać trzeba dziecko, umierające na suchoty w suterynie wielkiego miasta, gdzie wieczorem grzmią ohydne wrzaski i głupie gramofony, a z pobliskich ustępów dochodzą najstraszliwsze odory,—takie życie dajmy bohaterowi powieści—i wtedy wobec takiej lub jeszcze gorszej rzeczywistości pokażmy, jak można godziwie żyć i nie spodlić się i życia i świata nie przekląć... — To byłoby pokazać życie rzeczywiście „najpospolitsze" — z jednej strony, a bohatera miary najwyższej — z drugiej, to byłoby dowieść swej moralnej, nietyle może tezy ile postawy, afirmującej każdy żywot argumentami i przykładami próby najwyższej. I to byłoby dosięgnąć wyżyn patosu wyższych, niż te, na które autorka „Nocy i dni" niewątpliwie się wzniosła.

Nie uprawiam demagogji, nie przeciwstawiam „ludowi" — „burżuja", tylko „biednemu człowiekowi" — jeszcze biedniejszego, niedoli średniego stopnia — niedolę stopnia wysokiego. Człowiek jest biedny przez to samo, że się urodził jako istota świadoma a śmiertelna i niedoskonała — i na najwyższych wyżynach doczesnego szczęścia i chwały jest ten sam klasyczny ludzki los, który jest tragicznym.

Nawet los istoty pod szczęśliwą gwiazdą urodzonej, np. szczęśliwego i dobrego monarchy, albo kobiety pięknej, dobrej, kochanej a bogatej itp. to jest w ostateczności ten sam powszechny los człowieka, zrozumiały dla każdego, kto także jest człowiekiem. Dla dworskiej sztuki klasycystycznej c z ł o w i e k i e m t y p o w y m byli królowie i książęta, ich losy jedynie dostatecznie wzniosłe, aby godne były artystycznego przedstawienia. Naodwrót, demokratyczna sztuka współczesna bagatelizuje chętnie tragizm życiowy warstw uprzywilejowanych i jedynie tragicznego człowieka widzi w proletarjuszu. Nie chciałbym schodzić na tę drogę i właśnie wyjaśniłem dlaczego; zresztą we wzniosłości już *implicite* mieści się wielkoduszna jakaś l u d z k o ś ć (w sensie: „ludzki człowiek"), która łagodnie spływa na każdego, kto urodzony człowiekiem, uczestniczy w powszechnym ludzkim losie. Ale jest jakaś słuszność w tem, że mały los nieszczęsny małego człowieka, biedaka, nędzarza, jest straszliwszy i smutniejszy niż wielkie tragedje duchowe ludzi z wyżyn społecznych, a przynajmniej ze środowisk, o tyle uposażonych, aby żyć po ludzku, schludnie i mniej więcej bezpiecznie (jak właśnie Niechcicowie). Jak się w burzy i huraganie łamią wielkie drzewa, to jest to zjawisko posępne ale wspaniałe; jak na nędznem podwórku usycha drzewko, które nigdy słońca nie zaznało i brzydkie jest i na brzydotę, aż do przedwczesnego swego uwiądu skazane — to jest widowisko nędzne, ale przez to właśnie tem smutniejsze. Topić się w morzu burzliwem — jest strasznie; ale topić się w kloace jest potwornie. Dręczyć się od wielkiej krzywdy miłosnej to jest nieszczęście, które może sięgać aż do tragizmu i niszczyć człowieka; a wspaniałą, zwycięską rezygnacją wynieść się ponad takie nieszczęście, i matafizycznie, religijnie, moralnie się sublimować - to jest wzniosłe widowisko i piękne. Ale jak się sublimować od ordynarnego głodu, od brudu cuchnącego i pasorzytów w łachmanach nędzarza? Wielkie nieszczęścia czysto duchowej natury mają ten przywilej, że mogą być obrócone we wzniosłość i piękno; materjalne nieszczęścia nędzy są obciążone pospolitością i brzydotą, która poniża, i z którą nie wiadomo co zrobić, jak ją prześwietlić, upatetyzować?... Wielkie nieszczęścia zawiedzionego serca i nagłego burzliwego losu mogą łamać duszę; chroniczna niedola biedaków rozkłada psychikę, roztrwania dumę oporu, pozostawia jedynie bezduszną tępotę, jako jedyny sposób robaczywego bytowania. I w takim bycie wznieść się po afirmację rzeczywistości, po heroiczną wiarę w sens bytu wbrew wszystkiemu — to już zwycięstwo wznioślejsze od zwycięstw wzniosłych — ale dokonywanych w sferach życia bardziej uprzywilejowanego, zamożniejszego, bezpieczniejszego, wolnego od poniżeń głodu, niechlujstwa i sytuacyj haniebnie przymusowych i podłej brzydoty spodu miasta. A już nie może być większa boleść nad tę, kiedy rodzice patrzą na głód swego dziecka... Szczęśni, którzy o tem wiedzą tylko ze słyszenia — (jak autor tych słów...) — Obawiam się, że przy obecnym stanie społecznym znajdą się czytelnicy „Nocy i dni"; którzy na skromne życie domu w Serbinowie, na jego kłopoty i troski, będą patrzyli jak na zazdrości godną oazę szczęścia, wobec którego zblednie nawet niedola małżeńska państwa Niechciców. Ale nie powinna nawet takiemu t r a g i c z n e m u czytelnikowi zblednąć wzniosłość zwycięskiej, w i e c z n e j c i e r p l i w o ś c i Bogumiła. Wolno zaś ufać, że człowiek, któryby stawia czoło bardziej subtelnym niedolom, umiałby walczyć z rozpaczą i otępieniem i upadkiem pośród losów brutalnych, pospolitych i już całkiem bezlitosnych.

Jeśliby kto tu zarzucił, że do krytyka nie należą takie moralistyczne dygresje, tylko rozpatrywanie „wyłącznie literackiej", czyli estetyczno-

formalnej strony dzieła, to ja nawet na tę zasadę zgodziwszy się prowizorycznie, odpowiem, że ta (pozorna) dygresja i z tego względu jest celowa: Bo krytyka „ściśle literacka“ bada wrażenia z dzieła i przedmiotowe warunki wrażeń; jeżeli celowość dzieła literackiego jest moralistyczna, to krytyk pyta o g ł ę b i e w s t r z ą s u m o r a l n e g o, jaki dzieło wywoła; w danym wypadku stwierdzam, że wrażenie moralne jest głębokie — ale nie jeszcze tak wstrząsające, jakby mogło być, gdyby autorka swego człowieka moralnie zwycięskiego postawiła w okolicznościach życia bardziej nieszczęsnego. Są w tej książce losy ludzkie smutne i bardzo smutne i groźne — ale nie jeszcze u samego dna niedoli ludzkiej. Naturalnie, to jest tylko stwierdzenie faktu, a nie żaden zarzut! Byłaby to niewczesna pretensja, siedząc na wierchu Tatr, narzekać, że się nie siedzi na szczycie Himalajów. Marja Dąbrowska wybrała to życie i tych ludzi, których znała, bohatera, który widocznie był jej serdecznie zrozumiały, pewnego szarego, pracowitego człowieka ze średniej warstwy społecznej.

Jakoś się zaczęło lepiej układać w życiu rodziny Niechciców, to i owo się załagodziło, Bogumił, na stare już lata, dochrapał się samodzielności na niewielkiej dzierżawie — gdy przeziębiwszy się umiera. Jego ostatnia przedzgonna, już w zamroczeniu nagłej gorączki, przechadzka po jesiennych polach, jego omdlenie, modlitwa, która się jakby sama wydziera na usta temu zresztą skrytemu religijnie, prawemu człowiekowi, jest jednem z owych miejsc powieści, gdzie powszechny los „biednego człowieka“ znajduje wyraz prawdziwie epiczny, nabrzmiały podskórnie głęboko serdecznym, opanowanym liryzmem. Nie wiem, czy autorka miała na myśli i zgon dobrego rycerza pana Longina i zgon starego gospodarza Boryny — ale te dwa p o l s k i e z g o n y śnią się pamiętającemu je czytelnikowi przy tej godzinie Bogumiła Niechcica.

Akcja powieści toczy się jednak jeszcze dalej, aż do wybuchu wojny, do zniszczenia przez Niemców rodzinnego miasta Barbary Niechcicowej, Kalińca (napewno Kalisza). Dzieci daleko, biedna pani Barbara na żydowskim wózku ucieka w niepewność, w noc, w wojnę, co jej zabiega już drogę. Jakżeby wtedy chciała poskarżyć się temu Bogumiłowi, że jest sama, bez dzieci, bez męża...

Agnisia Niechcicówna jest szczepem z krwi Ostrzeńskich, skorygowanym przez zdrowie po Niechcicu. Po matce wzięła jej prawdomówną uczciwość i wyobraźnię ku sprawom patetycznym i poetycznym polotną — ale i niebezpieczeństwo jej krwi: Pragnienie przygody niebywałej, które, wespół z łatwą pobudliwością erotyczną, napełnia ją niepokojem, co ją trawi nawet w szczęściu. Wychodzi zamąż za człowieka, z którym ją wiąże najgorętsza zawziętość miłosna i wzajemny podziw duchowy. I dziw, dlaczego w dzień ślubu czuje się nieszczęśliwą? Po ślubie ucieka z miasta, błądzi po polach i lasach, gnana żalem, że już się zamknęła w jedynem, na zawsze określonem, wiernem życiu. Wszystkie inne, nieznane i niesłychane możliwości, rozkoszniejsze od znanych, bo tajemnicze, buntują się w niej przeciw temu, odtąd jedynemu, jedynie możliwemu już życiu, które ją czeka. To jest taki gwałtowny bunt romantycznej dolegliwości, romantycznej nierównowagi między realizacjami, choćby wysokiemi, uczucia — a wymaganiami bujnej ale nieokreślonej wyobraźni — objaw antyrealistycznej choroby, która truła krew jej matki i matczynej siostry. Agnieszka w tej swojej poślubnej samotnej wędrówce — wzorem właśnie romantycznego bohatera — waganta, który się w określonych możliwościach rzeczywistości nie chce czy nie może pomieścić — przemyślała jednak wiele:

„Miłość... któż dociecze, z jakich pobudek powstaje, czem urasta, żywi się i umiera, któż przewidzi, jakie niesie z sobą pokusy, odstępstwa i manowce, do jakich prowadzi zwycięstw moralnych i cnót? Możebne, że wielka miłość jest zawsze rezygnacją z czegoś, bez względu na to, co jej rezygnacją być może. Ale czemkolwiek jest i skądkolwiek się wywodzi, nikt temu nie zaprzeczy, że istnieje między nimi, dwojgiem zagubionych wśród świata. Trzeba ją nieść, a jeśli tak wypadnie, to ją dźwigać lub ku niej wzlatać z nizin, snuć ją z siebie i brać razem ze wszystkiem, co ją krzywi, brudzi, czy może tylko wikła...” (IV.I.290).

„Snuć miłość...” — czy tak, jak jedwabnik z piersi swej nić snuje?... To jest jeszcze jedno e c h o p o l s k i e w powieści Dąbrowskiej, powieści nawskroś polskiej przez melancholijną swoją i łagodną l u d z k o ś ć, która jest jej powietrzem. Ale wróćmy jeszcze do naszej interesującej panny Agnieszki. Z utajonemi w sobie niebezpiecznemi możliwościami, z tym właśnie rzeczywistym czy urojonym nadmiarem możliwości, które się buntują przeciw zniszczeniom, przeciw determinacjom postanowień powziętych z charakterem czyli wiernie — Agnieszka ma jednak po ojcu tę pełnię dobrotliwego życia, dzięki której „umie cieszyć się czembądź“ (II. 76) i „jak tylko się do czego weźmie, zaraz jej się wydaje to dobre i prawdziwe“ (IV, I. 290). Gdy Niechcic powiada (na którejś ze stron tomu II-go), że „lepiej cierpieć niż nie czuć, że się żyje“ — to u jego córki to dobre psychofizyczne urodzenie, ta biologiczna i moralna zarazem tężyzna, w związku z jej silnym temperamentem i polotem, staje się czasem jakby wprost ekstatyczną afirmacją życia:

„— ta radość, która przychodziła niewiadomo skąd, bez powodu, a nawet naprzekór powodom, była bez skazy i ona, tak, nie pojednanie z Marcinem, nie to lub tamto, była jedynie tą do gruntu prawdziwą rzeczywistością, wobec której wszystko zło i dobro tej ziemi zdawało się snem. I była taka wszechwładna, że kto wie, życie to jeszcze pokaże, ale kto wie, czy jest do pomyślenia taka klęska, któraby się mogła wobec niej ostać... Tylko... czem jest... o czem świadczy ta radość?...”

W takich stanach ekstatycznych Agnieszka uświadamia sobie niezłomnie co jest jej najwłaściwszym „sekretem życia“: „U m i e ć s i ę c i e s z y ć ż y c i e m, b e z w z g l ę d u n a t o, c o o n o p r z y n i e s i e“ (III, I, 395).

W biblioteczce studenckiej Agnieszki, której zawartość autorka wymienia, nie było autora, który wtedy — a to było gdzieś pod rok 1910-ty — był chętnie przez młodzież inteligentną czytywany — a w każdym razie ideje jego krążyły po powietrzu; nie mam teraz na myśli djonizyjskiej afirmacji życia, ze złem i dobrem, Zarathustry — ale ideje Jana Marji Guyau, który wtedy był już tłumaczony na polski; ten czas, w którym Agnieszka podrastała, wierzył razem ze szlachetnym myślicielem optymistą, w oddenny humanizm Życia: Życie jest w istocie dobrotliwe; kto ma w sobie wielką ilość energji życiowej, ten już łatwo, jakby przez przelewną w sobie obfitość dobrotliwości i odwagi i pogody dobije się najwyższych wartości, jakie człowiek może mieć—

i siać będzie dokoła siebie uśmiechy, wiarę w życie i zgodę na życie, siać będzie, choćby sam się w najgorszem znalazł: Życie nie da się niczemu. Taką samą mniej więcej była wiara i postawa Agnieszki Niechcicówny. Ale tej dziewczynie nieznane były okropne spody życia; czyż tam życie jednostki nie czuje się straszliwie samotne w okrucieństwie walki o życie, w obojętnym potoku Życia, któremu ani na człowieku nie zależy ani na jednym człowieku? Jeśli ekstazy radości dobrotliwej i wyniosłej — to objawienie Życia, to i potworne pasje samolubstwa także należą do Życia; a życie, które, śmiertelnie znużone i wyczerpane, w ślepych uliczkach niemocy zaprzecza samo sobie?... Powieść „Noce i dni" należy do tych, które poruszają w czytelniku metafizyczne zapytania.

(dok. nast.) KAROL LUDWIK KONIŃSKI

WŁADYSŁAW REYMONT

„Czy ja się w tym roku zobaczę drukowanym? Albo czy kiedykolwiek będę drukowanym? Nie zdaje mi się, — jednak chciałbym! Nie pragnę tak silnie, aby to pragnienie zrobiło się faktem, ale pragnę. Tyle miernot się... tłoczy, czytuje, a ich autorowie cieszą się sławą... Gdybym ja taką sławę nawet posiadł, robiłaby mi ona ogromną przyjemność, ale świadomość, ale sumiemienie wątpiłoby w słuszność sławy" [1]).

Takie życzenia złożył w swoim pamiętniku Reymont samemu sobie dnia 7 maja 1892 r., to znaczy w dwudziestą piątą rocznicę swoich urodzin.

Pierwsze życzenie ziściło się jeszcze w tym samym roku: w krakowskim dwutygodniku „Myśl" ukazał się „szkic" pod tytułem „Wigilja Bożego Narodzenia", z podpisem: Władysław Reymont. Minęło lat cztery, i zaczęło się spełniać drugie życzenie: „Komedjantka" dała jej autorowi rozgłos, „Fermenty" go utrwaliły. A kiedy się w 1899 r. ukazała „Ziemia obiecana", z rozgłosu zaczęła szybko urastać sława. O jej słuszności nie wątpiło już chyba sumienie Reymonta.

Lecz to samo sumienie powiedziało mu, że na skrzydłach, które mu wyrosły ze świadomości osiągnięcia sławy, powinien lecieć coraz wyżej: „Pragnę pokazać i unaocznić nasze życie, zrobić przekrój filozoficzny wszystkich warstw, pokładów narodu, odtworzyć całe misterjum życia polskiego,.... odbudować polską duszę ogólną: polską, bo wiem, czuję i wierzę, że to dusza odrębna i moc cudna i wspaniała, co nie zginęła pod pokładami obcych napływów i wrogich osadów i naszej własnej wrogości". I powiedziało mu jeszcze sumienie, świadome osiągniętej sławy, że wszystko co dotychczas napisał, jest tylko jego „wstępem literackim".

Oto geneza psychologiczna tego dzieła, które jest kamieniem węgielnym jego sławy, już nietylko w Polsce, ale i poza jej granicami, i nietylko w Europie, ale także w Ameryce i w Azji: „Chłopów" przełożono na język niemiecki, szwedzki, duński, angielski, holenderski, francuski, włoski, czeski, słowacki, japoński, indyjski (pâli), a i na żargon żydowski. Za to właśnie dzieło otrzymał Reymont w 1924 r. nagrodę Nobla. Kiedy prasa angielska wyraziła zdziwienie, że to nie Anglik, Tomasz Hardy, tylko Polak, jakiś tam Władysław Reymont, jest laureatem, jeden z dzienników amerykańskich odpowiedział, że świat może być Akademji Szwedzkiej tylko wdzięczny za przysądzenie nagrody wielkiemu pisarzowi, którego dzieła są „własnością całej ludzkości".

Zresztą na olbrzymim talencie Reymonta poznano się zagranicą na lat kilka przed nagrodą Nobla. Już w 1918 r. krytyk francuski Frank Schoell słusznie nazwał „Chłopów" „epopeją-romansem" i nie mniej słusznie powiedział, że „to najzupełniejszy i bodaj czy nie najbardziej ludzki dokument o chłopie w literaturze wszystkich wieków". A w tym samym roku krytyk szwedzki, profesor uniwersytetu w Lund, Fryderyk Böök, stwierdzając ogromną wyższość „Ziemi obiecanej" i „Chłopów" nad powieściami Zoli, „czuł się zmuszonym" (jak mówi) „do szczegółowego porównania „Chłopów" — nie mniej ani więcej — tylko „z epopejami Homera", wykazując jednocześnie całą oryginalność talentu epickiego Reymonta.

Z pośród krytyków polskich nikt piękniej i lepiej nie uwydatnił tej oryginalności, niż Adam Grzymała-Siedlecki w świetnem studjum, poprzedzającem tom pierwszy wydania zbiorowego Pism Reymonta (w 1921 r.).

Jakież są główne znamiona jego fenomenalnego talentu, który w całym swoim blasku zajaśniał w „Chłopach", ale który mocno jaśnieje już i w „Ziemi obiecanej", i w „Szkicach powieściowych" (zwłaszcza w szkicu „Sprawiedliwie"), i w „opowieściach", i w „obrazach" i „nowelach".

Oprócz niezrównanego w swojej plastyce daru narracyjnego, i to zarówno w opowieści o czynach i charakterach ludzkich, jak w obrazach natury, daru, mającego swoje główne źródło w niesłychanej wrażliwości wzrokowej, słuchowej i ruchowej, oraz w bujnej, wręcz żywiołowej fantazji, która owoce tej wrażliwości nietylko pomnaża, ale wyolbrzymia (czasem aż nawet do rozmiarów potwornych i wspaniałych zarazem, jak szalejący huragan) — posiada Reymont może w większym jeszcze stopniu aniżeli Sienkiewicz to, bez czego niema i nie może być epika w wielkim stylu: dar zapominania o sobie, o swoich własnych myślach, poglądach, uczuciach, czyli, innemi słowy, dar doszczętnego wcielania się w swoje kreacje artystyczne, bez czegoby one nie mogły mieć tyle prawdy życia, ile jej mają. Szczytem tej sztuki zapominania o sobie i przeistaczania się w innych ludzi, i to od siebie duchowo niższych, są „Chłopi". A idzie tutaj nietylko o Borynę i Jagusię, o Hankę i Antka, o Witka i Rocha, lecz nadewszystko o samego narratora powieści.

O tem, co się działo pod Troją, opowiada sam Homer, o tem, co się działo w Soplicowie, — sam Mickiewicz; ale o tem, co się działo w Lipcach, opowiada nie sam Reymont, tylko chłop

[1]) Jest to przedmowa (łaskawie przez autora nam użyczona) do zbiorowego wydania Pism Reymonta, które się zacznie niebawem ukazywać we Lwowie, nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. (Red.)

lipecki, który ma swoją własną głowę i swoje własne serce, który swój pogląd na świat, swoje obyczaje, swój język, swoją religję zawdzięcza nadewszystko całej gromadzie i wielowiekowej tradycji, ale który swój żywiołowy talent epicki (a i swoje poczucie piękna natury) otrzymał w darze od Reymonta. Takie zjawisko nie jest wprawdzie nowością w naszej literaturze: już na początku XIX wieku mamy przecie „Dwuch Sieciechów" Niemcewicza, a później „Pamiątki Soplicy" Rzewuskiego, „Pamiętniki Winnickiego" Pola, „Jana Dęboroga" Syrokomli i inne gawędy, których autorowie chowają się za swoich narratorów; ale skryć się tak doszczętnie, jak Reymont, albo raczej tak całkowicie przeistoczyć się w swego narratora, jak on, nie umiał nikt inny.

Nie dosyć na tem. Jest Reymont epikiem z bożej łaski i dlatego jeszcze, że nikt inny nie umiał odtwarzać tak artystycznie życia zbiorowego: dowodem nietylko „Chłopi", ale i „Ziemia obiecana" i niektóre „szkice powieściowe" (zwłaszcza „Sprawiedliwie"), a i trylogja historyczna „Rok 1794". O tych powieściach z większą jeszcze słusznością, niż o „Panu Tadeuszu", powiedzieć można, że głównym ich tematem jest życie nie jednostek, ale całych zbiorowisk ludzkich.

A tego życia nie idelizuje Reymont: nie będąc naturalistą, jak Zola, niecierpiąc nawet naturalizmu, jest realistą w wielkim stylu. Nie tając ani niskich instynktów ludzkich, ani nieprzebierającej w środkach, czasem nawet krwawej, walki o byt pomiędzy jednostkami i całemi źbiorowiskami ludzkiemi, nie wpada on nigdy w ciasną jednostronność i uwydatnia także dobre, szlachetne pierwiastki natury ludzkiej. „Chłopi" Zoli — jak się wyraził krytyk francuski Muret — „żyją jak bydlęta i znajdują upodobanie w swojej sromocie; chłopi powieściopisarza polskiego także nie wiodą cnotliwego życia, ale rozróżniają grzech a cnotę, materja nie jest dla nich jedynym bogiem, w duszach swoich pozostali chrześcijanami". Tak jest nietylko w „Chłopach": nikt z tak wielką, tak męską odwagą nie obnażył ujemnych cech społeczeństwa szlacheckiego ginącej Polski, jak Reymont w swej trylogji historycznej; ale wśród tego błota moralnego i nierozumu tem jaśniej świecą ogniki przyszłego odrodzenia narodu, jego woli życia.

I oto nowa cecha naczelna twórczości i duchowości Reymonta: jego utwory to nietylko wcielenie tężyzny i energji życia, ale, śmiało można powiedzieć, apoteoza żywiołowego pędu życia, okupionego choćby nawet... samobójczą śmiercią (jak w „Marzycielu"). Wspaniałym symbolem tego kultu siły życiowej jest Boryna w swoich przedśmiertnych chwilach, kiedy to, nawpół przytomny, zrywa się z łóżka, pędzi na pole i rzuca ziarna w swoją ukochaną, świętą ziemię; albo i Franek Kulesza, kiedy, w obliczu nadciągającej wojny z Niemcami, przerywa pracę na polu, a zleciwszy żonie gospodarstwo, zaciska zęby i idzie „na wroga" ze słowami: „Zapłacimy ścierwom za wszystko, zapłacimy!" — albo jeszcze owi uczestnicy procesji, którzy, kiedy ksiądz padł od kuli niemieckiej, chwytają z jego rąk „kielich z żywą Krwią i Ciałem Pańskiem", niosą go dalej, „wskroś huraganów, wśród śmiertelnych odmętów bitwy, wskroś pożogi i zniszczenia. I wynieśli"...

Oto filozofja życia utworów powieściowych Reymonta — i jego własna. Nie dał w nich, jak tego pragnął, „przekroju filozoficznego wszystkich warstw, pokładów narodu", nie odtworzył „całego misterjum życia polskiego", ale „polską duszę ogólną", „duszę odrębną", „moc cudną i wspaniałą, co nie zginęła pod pokładami obcych napływów i wrogich osadów i naszej własnej wrogości", narodowi ukazał — nadewszystko w tem arcydziele powieści polskiej i wszechświatowej, którem są „Chłopi".

IGNACY CHRZANOWSKI

GWIAZDKA

KOLĘDA

Kto stoi przy kolebeczce,
kto skargi Jezusowi szepce?
To sieroty — Ludka i Janek.
Uciekły od pijaka szewca,
co i tak ich żywić nie chce...
O Jezu kochany!...

Szewcowa umarła w listopadzie.
Nikt sierotom nic nie poradzi:
sąsiadkom sprzykrzył się wieczny lament.
W kościele stoi szopka z Jezusem,
poszły dzieci w sukieneczkach kusych
do niego same.

„O Jezu, bose my i głodne,
sam wiesz. Opowiadać — czasu szkoda.
Niema mleka, ni chleba.
Niech Tata ma dość pieniędzy na wódkę!
I najlepiej zaraz weź mnie i Ludkę
I daj nam Niebo".

CO DZIECI WIEDZĄ?

Świat cały taki zajęty:
nie widzą, nie czują — ślepcy,
że znów śpi Dzieciątko święte
w ubogiej, jak co rok, kolebce.

Pytają dorośli sfrasowani:
„Czy to być może?!..."
...Bo jeśli — tak, to ubrania
odświętne włożą.

Pytają: „Gdzie to Dzieciątko?
i czyje? i jakie? i do kogo podobne?
I trzeba im wciąż, od początku,
tłumaczyć każdemu z osobna:

że Gwiazda drogę pokazuje,
że Anioł nad szopą jubiluje,
że pastuszkowie zbiegli się zwabieni łuną...
...że jest tutaj, w kolebeczce, u nas.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Sprawa autentyczności polityki polskiej. — Jedna może być tylko polityka narodowa. — W Polsce są dziś dwie polityki: polska i żydowska. — Masonerja w służbie żydów. — O krzyż na progu.

Zdawałoby się, że chodzi o rzecz bezsporną — o to mianowicie, aby kierująca naszemi krokami myśl polityczna była autentycznie polską. A jednak jest to u nas sporne, mało powiedzieć — sporne, o to walka się toczy, z tego powodu rozłam w społeczeństwie, mający nieraz charakter walki domowej.

Kiedyż ma być zawieszenie broni, jak nie w dni Bożego Narodzenia, które wypromienia hasło: Pokój ludziom dobrej woli. Ludzie dobrej woli mogą się porozumieć, z ludźmi złej woli niema pokoju. Do ludzi dobrej woli mówimy, aby zrozumieli, jaki jest stan rzeczy.

Gadanie, że „w Polsce — jak kto chce", obracane w żart, albo traktowane z chlubą, jako formuła swobód w Polsce tolerowanych, w rzeczywistości było satyrą, piętnem, stwierdzeniem anarchji w stosunkach, upośledzenia w kulturze politycznej. Były to czasy sromotnego upadku, kiedy się tolerowało np. swobodę, z jaką dygnitarz państwowy brał pieniądze od obcych potencyj, aby robić w Polsce ich politykę.

Tutaj — nieprawda — absurd swobodnego wybierania dróg dla Polski bije w oczy. A do takiego absurdu i do takiej hańby zawsze dojść może naród, jeśli nie ustali się w opinji publicznej i w sercach obywateli prawda, jako podstawa kultury politycznej, że naród może mieć w swoim czasie tylko jedną dobrą drogę polityczną. Postęp kultury myślenia politycznego na tem polega, że im wyższe zagadnienie życia narodowego, tem mniej może być dowolności. W polityce zagranicznej musi panować bezsporność kierunku. Możemy się ścierać poglądami w sprawach wewnętrznych, mogą istnieć różne poglądy na taktykę działania nazewnątrz, ale, na miły Bóg, kto może mieć prawo komponowania narodowi z dnia na dzień misji dziejowej?

Drogę dziejów swego narodu trzeba z n a ć, nie można jej obierać według własnej fantazji lub cudzego podszeptu, ta wiedza to owoc mądrości, do której dochodzi mąż stanu przez ścisłe zespolenie się z duchem dziejów własnego narodu i poważne studja nad prawami, rządzącemi ruchem konstelacji, wśród której naród ma swoją orbitę.

Może być tedy tylko jedna d o b r a polityka narodowa. Ale przecież są różne, z tamtą niezgodne i mają swój kurs, uznawany przez grupy polskie nawet. Utarł się naprzykład w czasach usilnie propagowanego relatywizmu pogląd, że wybór jednej z dróg politycznych jest kwestją osobistych zapatrywań: można tak, można inaczej. Relatywizm, stosowany do kwestji życia, nie dającej się dwojako rozwiązać, jest zbrodniczy. Zagadnieniem bowiem istotnem jest tutaj pytanie, czy spory orjentacyjne są teoretyczne, czy też wynikają stąd, że ścierają się z sobą sprzeczne i n t e r e s y.

Historja nie zna konfliktów politycznych bezinteresownych. Cóż z tego, że spór dany toczy się wewnątrz społeczeństwa: do wnętrza dostają się prądy cudzych interesów. Żadna klasa polska, żadne ugrupowanie polskie nie ma w polityce zewnętrznej interesów sprzecznych z polską polityką narodową. To jest teza.

Natomiast łatwo bywa zbałamucić ludzi pozbawionych elementarnej mądrości politycznej lub instynktów narodowych i zyskać ich poparcie dla interesów obcych. Wszelako nie będzie to przez to ich polityka, lecz cudza, a z a w s z e z interesami narodu sprzeczna. To druga teza.

Do Polski, do każdego kraju przedostaje się propaganda na rzecz interesów państw sąsiadujących, propaganda, mająca na celu rozbrojenie moralne kraju w stosunku do tego lub innego sąsiada i przeciągnięcie go na odpowiednią orbitę. Ale nie każda polityka obca jest zagraniczna. Żydzi nasi prowadzili zawsze swoją własną politykę, tembardziej teraz, gdy już sami głoszą się jako mocarstwo.

Polityka żydowska tem różni się od innych, że ma zawsze na celu pierwszym zniweczenie źródeł mocy tego narodu, wśród którego operuje. I po tem ją poznać, że harmonizuje wszystkie prądy, nieraz bardzo rozbieżne, nurtujące w danym kraju, a mające na oku jakieś obce interesy. Harmonizuje po to, aby je zwrócić przeciwko systemowi dążeń narodowych w tym kraju. Jakie tylko pojawią się na naszej ziemi pomysły przeszkadzania polityce narodowej i wykorzeniania jej, wszystkie one pod jakąś tajemną batutą godzą się z sobą, zwrócone zawsze przeciwko obozowi narodowemu. Chór rozłożony na głosy, każdy uczestnik pozuje na solistę, a przecież robią jedno — nie rozróżnisz, kto zprawa, kto zlewa i w którą stronę chciałby drogę wytykać, wszyscy się boczą na politykę narodową zarówno zewnętrzną, jak i wewnętrzną.

W tych warunkach tylko obłuda może ćmić opinję, że wszyscy robią politykę polską, jeno narodowa (nacjonalistyczna!) jest z niej wyłączona jako nieprzyzwoita. Rzeczywistość jest inna: istnieją na ziemi Chrobrego dwie polityki — polska i żydowska. Żydowska jako synteza wszystkiego, co w Polsce bruździ, co drogi jej pomylić może, siły jej osłabić, skłócić wewnętrznie aż do wojny domowej. Żydzi nie potrafiliby zorganizować tej armji przeciwko obozowi narodowemu bez pomocy masonerji. Nią się też posługują skutecznie i — dodajmy — na nią zrzucają odpowiedzialność, sami w cieniu ukryci. Wiadomo jednakże, że siłą, harmonizującą tak rozbieżne elementy, może być tylko duch nacji, on bowiem jeden ma siłę syntetyzowania rozbieżności dla jakiegoś życiowego celu.

W Polsce istnieją dwa systemy dążeń, zdolne do planowania politycznego: polski i żydowski. Kiedy ten punkt widzenia wyłożyłem w przemówieniu swojem na procesie z Al. Lednickim w r. 1924, stałem się przedmiotem naigrawań ze strony obrońców tego typowego reprezentanta polityki żydowskiej międzynarodowej. Późniejsze wypadki utwierdzić mnie tylko mogły w tym poglądzie. Podczas wojny naturalnie, prawda ta rzucała mi się w oczy z całą oczywistością; jak się ona wtedy przedstawiała, wyłożył to jasno obecnie były senator St. Kozicki w „Warsz. Dzienniku Narodowym" z dn. 6 grudnia w świetnym artykule p. t. „Żydzi i Polska". Opowiedziawszy pokrótce historję dwu frontów polskich w czasie wojny, Kozicki pisze dalej:

„Podobnie jak w czasie wojny były dwie polityki w stosunku do zagadnienia polskiego — polska i żydowska, tak samo było w czasie konferencji pokojowej. Polityka polska odniosła wielkie zwycięstwo zasadnicze — odbudowanie państwa polskiego. Lecz polityka żydowska na pięknej płaszczyźnie tego zwycięstwa porobiła przykre, a nawet groźne rysy — traktat o mniejszościach, wykoszlawienie pierwotnie proponowanej granicy zachodniej, wreszcie niedopuszczenie obozu narodowego do władzy w odbudowanem państwie polskiem.

Przyszedł okres powojenny, okres wewnętrznej budowy państwa polskiego. I znów widzimy dwie równoległe polityki w Polsce — polską i żydowską.

Głównem zadaniem polityki żydowskiej jest zabezpieczenie zupełnej wolności rozwoju żydostwa w Polsce i ochrona interesów głównego skupienia ludu żydowskiego na świecie, będącego rezerwoarem świeżych sił dla żydostwa. Głównym środkiem do osiągnięcia tego celu — niedopuszczenie do wpływów i władzy tych czynników w Polsce, które dążyły do prowadzenia niezależnej polityki światowej polskiej i uwolnienia się od wpływów polityki żydowskiej.

Cel był wciąż ten sam, lecz taktyka uległa w r. 1926 radykalnej zmianie. Do tego roku żydzi popierali w Polsce skrajną „demokrację", licząc na to, że utrwalenie się stronnictw lewicowych usunie raz na zawsze możliwość dojścia do władzy obozu narodowego. Powodem przerażenia dla kierowników polityki żydowskiej stało się w r. 1923 porozumienie Witosa ze Związkiem Ludowo-Narodowym, gdyż to wskazywało na możliwość wytworzenia w Polsce Obozu Narodowego, opartego o szerokie warstwy ludowe. Znów tylko biorąc w rachubę politykę żydowską, można zrozumieć, dlaczego nagle Witos w oczach wielu Polaków z przedstawiciela „ludu" (Chłop potęgą jest i basta), stał się „chamem", reprezentującym ciemnotę i zacofanie.

Gdy się kierownicy polityki żydowskiej przekonali, że lewica nie ma przyszłości w Polsce, gdy zobaczyli, że lud jest ogarnięty przez prąd narodowy, wówczas zmienili metody działania i poparli w Polsce dyktaturę, jako sposób zabezpieczenia się przed zapanowaniem w Polsce samodzielnej polityki polskiej. Robili to żydzi, jak wskazywaliśmy, wszędzie, nic dziwnego, że zrobili i w Polsce.

Obecnie, gdy z natury rzeczy zapowiadają się w życiu wewnętrznem Polski przemiany, w polityce żydowskiej widać wyraźne wahanie. Dogodnemby dla niej było utrzymanie obecnego stanu rzeczy. Szykuje się ona jednak na wszelki wypadek do tej ewentualności, że mogą dojść do głosu żywioły narodowe. Chodzi więc o to, by — jeśli już taka będzie konieczność — były to żywioły narodowe, które nie będą chciały uniezależnienia polityki światowej polskiej od polityki żydowskiej".

Powolny jest proces uświadamiania sobie przez społeczeństwo tych prawd, wśród których się żyje, ale których się nie widzi, jak powietrza. Jakże rozmaicie i jak ułamkowo przedstawiają sobie Polacy kwestję żydowską, jak nawet gorszą się, gdy ją wysuwamy na pierwszy plan naszych trosk narodowych. Nie tylko handlu i chleba tyczy ona; od jej rozwiązania zależy sprawa właściwej niepodległości. Nie jesteśmy narodem wolnym. Słusznie Kozicki konkluduje: „W Polsce współczesnej czynnikiem głównym, nieomal decydującym, musi się stać stanowisko ludzi i grup wobec faktu istnienia w Polsce dwóch polityk, — polskiej i żydowskiej; od tego bowiem zależy dalszy rozwój naszego życia politycznego i nasza przyszłość."

Kto zrozumie tę prawdę, temu jasnem się stanie, że fałszem jest jakoby Polak w sprawie żydowskiej rządził się nienawiścią. Nie pozwalajmy zaprzeczać sobie prawa miłości dla Polski, prawa znaczenia krzyżem progów swoich. Cóż prostszego i świętszego, jak wzywać Polaków do obowiązku, aby kroczyli drogą a u t e n t y c z n e j polityki polskiej?

Niech nam wolno będzie w dniu takim, jak dzień Bożego Narodzenia, powtarzać za poetą swoim słowa modlitwy o domu własnym ze znakiem krzyża na progu, domu, któryby nareszcie nie był domem niewoli.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

W OSTATNICH TYGODNIACH pojawiła się na półkach księgarskich książka p. Gustawa Lautera, wiceprezesa Sądu Okręgowego w Warszawie i prezesa II wydziału handlowego tegoż sądu, p. t. „Prawo upadłościowe i prawo o postępowaniu układowem" (Warszawa 1935, str. 323). Książka ta wzbudziła zaciekawienie sfer prawniczych i zasługuje na szczególną uwagę z tego powodu, że poza tekstem prawa upadłościowego, objętego rozporządzeniem Prezydenta Rzplitej z dnia 24 października 1934 r. (Dz. U. Nr. 93 poz. 834) oraz prawa o postępowaniu układowem, objętego takiemż rozporządzeniem z tej samej daty (Dz. U. Nr. 93 poz. 836), pomieszcza z a m i a s t k o m e n t a r z a t. j. objaśnień tekstu, w n i e m a l d o s ł o w n e m b r z m i e n i u u z a s a d n i e n i e p r o j e k t u p r a w a u p a d ł o ś c i o w e g o w o p r a c o w a n i u p o d k o m i s j i p o s t ę p o w a n i a u p a d ł o ś c i o w e g o K o m i s j i K o d y f i k a c y n e j R z e c z y p o s p o l i t e j P o l s k i e j, k t ó r e g o a u t o r e m j e s t p r o f. u n i w. L w o w s k i e g o d r. M. A l l e r h a n d. „Objaśnienia" p. Lautera różnią się t e m j e d y n i e od uzasadnienia projektu Komisji Kodyfikacyjnej, że autor poprzestawiał szyk niektórych zdań, albo poszczególnych wyrazów. Rzecz charakterystyczna, iż „objaśnienia" te są niemal-że fotograficzną reprodukcją p i e r w o t n e g o tekstu uzasadnienia Komisji Kodyfikacyjnej, tak, jak go opracował p. prof. Allerhand; tekst ten uległ następnie nieznacznym poprawkom w łonie podkomisji Kom. Kod. i dopiero później ukazał się drukiem w wydawnictwie urzędowem Kom. Kod. (Nr. 86 ogólnego zbioru). Przytem zaznaczyć należy, że p. Lauter, wydając tego rodzaju „komentarz", nie zaznaczył a n i s ł ó w k i e m, że „objaśnienia", zamieszczone pod tekstem, nie są „przejawem jego działalności duchowej", czyli jego utworem, lecz że są to motywy Kom. Kod. i n i c p o n a d t o.

Sprawa ta wymaga, przedewszystkiem z uwagi na stanowisko autora, a także ze względu na zainteresowanie się nią szerokich kół prawniczych, jaknajszybszego i jaknajbardziej wszechstronnego wyświetlenia. Wyświetlenie takie leży przedewszystkiem w interesie Komisji Kodyfikacyjnej, jej powagi i autorytetu, jako instytucji rządowej; chodzi bowiem o zapobieżenie możliwym insynuacjom, jakoby Kom. Kod. dopuściła się naruszenia prawa autorskiego, przysługującego p. Lauterowi...

W związku z tem należy przypomnieć, że w dniu 29 marca 1926 r. ukazała się ustawa o prawie autorskiem (Dz. U. Nr. 48 poz. 286), zmieniona następnie rozp. Prezydenta Rzeczypospolitej z 11 kwietnia 1927 r. (Dz. U. Nr. 36 poz. 318), określająca ochronę prawną, cywilną i karną, prawa autorskiego, którego przedmiotem jest k a ż d y przejaw działalności duchowej, noszący cechę osobistej twórczości. Przedmiotem prawa autorskiego n i e s ą j e d y n i e: 1) ustawy, rozporządzenia, orzeczenia sądów i innych władz, oraz pisma i formularze urzędowe, przeznaczone przez władze do wiadomości powszechnej, oraz 2) proste informacje dziennikarskie. Prawo autorskie należy do twórcy dzieła. Treść tego prawa polega na tem, że twórca rozporządza swem dziełem wyłącznie

i pod każdym względem; w szczególności rozstrzyga, czy dzieło ma się ukazać, czy ma być odtworzone, rozpowszechnione i w jaki sposób. Twórca może żądać od wkraczającego bezprawnie w jego prawa, by zaniechał naruszenia, wydał to, czem się zbogacił, a w razie winy wynagrodził wszelką szkodę. Ponadto ten, kto wbrew przepisom tej ustawy umyślnie wkracza w wyłączne prawa twórcy lub jego następcy prawnego, ulega karze grzywny do 10.000 zł. lub aresztu od 1 tygodnia do 6 miesięcy, albo obu tym karom łącznie. Przestępstwo takie należy do właściwości sądu okręgowego w składzie jednego sędziego, a może być ścigane tylko z oskarżenia prywatnego. Sąd może na wniosek pokrzywdzonego zarządzić ogłoszenie wyroku na koszt skazanego.

JUDEX

ODCZYT PROF. RYBARSKIEGO

Dnia 13 b. m. w wielkiej sali Tow. Hygienicznego w Warszawie odbył się drugi skolei odczyt prof. Romana Rybarskiego, organizowany przez wydawnictwo „Myśli Narodowej". Znakomity prelegent, owacyjnie witany przez licznie zgromadzonych słuchaczy, mówił tym razem „O bieżących sprawach politycznych i gospodarczych". W zwięzłym wywodzie poruszył szereg najbardziej palących zagadnień chwili.

Sejm — zaczął prof. Rybarski — pracuje nad budżetem. Ale ta praca nie posiada większego znaczenia, gdyż rząd może w każdej chwili budżet przerobić. Rząd bowiem — na podstawie nowej konstytucji — może w każdej chwili asygnować na konieczne potrzeby kredyty dodatkowe, czyli w praktyce może — nie słuchać sejmu.

Sejm ma sprawować kontrolę nad gospodarką rządu. Z istoty kontroli wynika postulat niezależności kontrolującego. A przecież sejm obecny jest właściwie do tej kontroli — „wydelegowany" przez kolegja wyborcze, które powstały w wiadomy sposób. W tych warunkach od sejmu w tym zakresie nie można spodziewać się wiele.

Budżet powinien dawać obraz gospodarki państwowej. Budżet obecny warunku tego nie spełnia, nie jest bowiem budżetem całkowitym. Nie odzwierciadla wszystkich dochodów i wszystkich wydatków.

Dochody państwa stanowią oprócz podatków rozmaite opłaty, np. stemplowe. Z obecnego budżetu w wysokości tych dochodów zorjentować się niesposób. Niewiadomo naprzykład, ilu jest w Polsce sekwestratorów, którzy w większości są urzędnikami kontraktowymi, a nie etatowymi.

Przemówienia premjera i wicepremjera pozwalały sądzić, że obecny budżet będzie w harmonji z obecnem położeniem. Czy tak jest w istocie? Jakie porobiono oszczędności, aby budżet z położeniem kraju sharmonizować? Całość budżetu zamyka się cyfrą 2 miljardów 144 miljonów złotych. Oszczędności w stosunku do budżetu poprzedniego wynoszą 23 miljony 700 tysięcy złotych. Stanowi to mniej więcej 1 *promille* całości budżetu. Oszczędności przeprowadzono w ten sposób, że zredukowano o 14,5 miljonów zł. wydatki na bezrobocie i o kilka miljonów wydatki na roboty publiczne. To wszystko. W innych dziedzinach oszczędności są prawie żadne. Fundusze dyspozycyjne, wynoszące 16,5 miljonów, zmniejszono... o 12 tysięcy złotych.

Czy i jakie oszczędności są możliwe do przeprowadzenia w budżecie? Jest wiele możliwości w tym kierunku. Przedewszystkiem należy przeprowadzić redukcję uposażeń osób najlepiej sytuowanych. Dalej możnaby wydatnie zmniejszyć wydatki M. S. Z. na propagandę zagraniczną, która w obecnych warunkach jest właściwie propagandą literatury i sztuki — żydowskiej.. .Również wydatki reprezentacyjne pownny ulec bezwzględnie zmniejszeniu.

Poważnem obciążeniem budżetu jest przerost rozmaitych ,,biur personelnych", które spełniają rolę polityczną... magli, gdzie to zbiera się wiadomości i plotki, a w rezultacie prowadzą do zwiększenia liczby emerytów i usuwania z urzędów ludzi wykwalifikowanych, za — „nieprawomyślność".

Oczywiście, wszystko to nie są jeszcze sposoby wystarczające, prawdziwe jednak i skuteczne oszczędności wymagają gruntownej, zasadniczej reformy państwa i jego ustoju.

Mówi się dużo o robotach publicznych, które mają ożywić nasze życie gospodarcze. Potrzebnych funduszów chce się szukać na drodze operacyj kredytowych. Ale nikt nie wskazuje źródeł kredytów. Z drugiej strony, kredyt użyty nie pod kątem rentowności i opłacalności — pójdzie na marne. Trzeba najpierw stworzyć warunki opłacalności, a potem dopiero myśleć o kredycie.

Wysuwa się dalej hasło upaństwowienia przemysłu. Nie jest ono już jednak aktualne, gdyż upaństwowienie przemysłu jest właściwie rzeczą dokonaną. To samo odnosi się do kwestji zastąpienia kredytu prywatnego kredytem państwowym, gdyż kredyt prywatny właściwie u nas nie istnieje.

Żądanie reformy rolnej drogą wywłaszczenia majątków ziemskich bez odszkodowania, jest takąż samą fikcją. Dziś państwo może za podatki i długi wywłaszczyć większość majątków. Idzie o to, za co je zagospodarować...

Żądanie to nie jest zresztą żądaniem mas. Masy w Polsce chcą pracy. Obóz narodowy nie ukrywa też przed masami faktu, że przyjdą czasy ciężkie, ale zato może zapewnić masom prawo, pracę i porządek.

NAUKA i LITERATURA

SÓL ZIEMI

„Wszyscy powstali z miejsc. Stare rokokowe fotele odsapnęły z ulgą, raptownie zwolnione z pod przygniotu dostojnych korpusów".

Śliczne słowo przygniot zawdzięcza język polski panu Józefowi Wittlinowi, który uważając widocznie polszczyznę za narzecze zbyt ubogie, postanowił ją wzbogacić wyrazami własnego pomysłu. Powieść jego pod tytułem „Sól ziemi", wydana nakładem „Roju", roi się od podobnych „przygniotów", bolesnych dla czytelnika, niczem nagniotki.

„Fotel, na którym usiadł cesarz, był czerwony, pluszowy i stał tuż pod portretem Marji Teresy. Przez chwilę się zdawało, że oczy cesarki szukają poprzez głowę Franciszka Józefa krzaczastych brwi małego barona Conrada"...

Ta cesarka nie została wymyślona przez pana Józefa Wittlina. Pan Józef Wittlin dowiedział się o istnieniu tego wyrazu od Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Ale Tetma-

jer używał wyrazu „cesarka“, zaczerpniętego z gwary góralskiej, sensownie — jedynie i wyłącznie w utworach pisanych gwarą góralską. Kładł go w usta górali. Pan Józef Wittlin wtrąca wyraz „cesarka“ w prozę, z djalektem podhalańskim mającą tyleż wspólnego, ile wspólnego ma żargon z poprawnym językiem niemieckim.

A teraz porównania i przenośnie poetyckie pana Józefa Wittlina:

„...drżącą ręką poprowadził pióro do otwartej paszczy kałamarza. Ręka wróciła z piórem, umaczanem w jadowitym płynie i drgając opadła na ląd papieru, jak lotnik, który poczuł w powietrzu grunt pod nogami. ...Atoli po napisaniu wyrazu „Franciszek“ nie stało już pióru płynnego tchu, atrament się wyczerpał“...

Ręka rzeczywiście bardzo podobna jest do lotnika.

Ogromnie przekonywający jest obraz lotnika, który w powietrzu czuje grunt pod nogami.

A ten płynny dech!

Wspaniałe.

Pan Józef Wittlin urodził się i wychował w Galicji. Powinien wiedzieć, że napiwek, dawany stróżowi przez lokatorów za otwarcie w nocy bramy, nazywa się tam szperą.

Tymczasem pisze:

„Stróże, jak zwykle, zamykali bramy o dziesiątej, otwierając je spóźnionym lokatorom za opłatą przepisowej szperki“.

Panie Wittlin! Szperka to co innego. Czy zapomniał pan o piosence:

„Nie dla psa kiełbasa,
Nie dla kota szperka...“?

A taki piękny obraz:

„Stary dziad-Dunaj szumiał za Praterem, jak zwykle i zanosił do morza, do Czarnego — swój wieczny spokój na przechowanie. Ostatnia fala dunajowa zabrała ze sobą na wieki uroczą melodję tego miasta (Wiednia), melodję, która już nie wróci, jak nie powróci nigdy do serca dobra krew, wytoczona z ludzi“.

Z ustępu przytoczonego powyżej wynika oczywiście, że Dunaj wysechł kompletnie. Skoro w roku 1914 spłynęła do morza Czarnego „ostatnia fala dunajowa“, no to dziś koryto rzeki pewnie jest suche. Chyba że napadało tam deszczu.

Nie mogę się powstrzymać od zacytowania jeszcze jednego obrazu:

„Wojna opanowała wszystkie lokale. Przeskakiwała przez sztachety willi, uśpionych w świetle księżyca na winniczych stokach Gersthofu, przeciskała się szczelinami starych murów śródmieścia, drapieżnie, jak kocica w marcu, harcowała po zielonym, miedzianym dachu Opery“.

Co za fenomenalnie bystry oberwator z tego Wittlina! Żeby zauważyć wojnę na dachu Opery — trzeba mieć spostrzegawczość zaiste niepospolitą.

„Śpi wieś w opłotkach Alp, Siedmiogrodu, Sudetów“.

Ładne opłotki!

Co krok natykamy się w powieści Wittlina na kardynalne błędy gramatyczne i stylistyczne:

„Zawrzało. Rozstają się nowozaciężni ze samym sobą“.

Od czasu do czasu trafia się aforyzm godny Alfreda Konara np.:

„Nieznany jest Żołnierz Nieznany“.

Dziwne wyobrażenie ma Józef Wittlin o aniołach. Według autora „Soli Ziemi“ anioł jest stworzeniem... mlekodajnem.

Na stronicy 41 czytamy:

„Zamiast całej chudoby miał psa. I jakiego psa! Taki pies, to już nie pies, to anioł. Mleka coprawda nie dawał, ale za to był dobry pies, to znaczy zły“.

Możnaby temi cytatami zapełnić cały numer „Myśli Narodowej“. Na każdej z trzystu czterdziestu trzech stronic utworu pana Wittlina kwitnie conajmniej kilka takich kwiatuszków. Nie dziwimy się Wittlinowi, że „uprawia“ polską literaturę. Ale dziwimy się Wańkowiczowi Melchjorowi, że taką prozę drukuje.

SIGMA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wydana nakładem Gebethnera i Wolffa nowa powieść p. Jana Ludwika Kurka (Jalu Kurka) pod tytułem „Woda wyżej“ osnuta jest na wydarzeniach autentycznych z czasów olbrzymiej powodzi, która nawiedziła Małopolskę Zachodnią w roku 1933. Pan Jalu Kurek odmalowuje nam przeżycia młodego podchorążego artylerji, który wracając z urlopu spędzonego w Krakowie do baterji w Ustasinie, zaskoczony został przez kataklizm żywiołowy w Tarnowie i z polecenia władz wojskowych wziął udział w akcji ratunkowej, pełniąc funkcję komendenta posterunku, czyli tak zwanego Ośrodka Pracy (O. P.) we wsi Luśnia, niedaleko ujścia Dunajca do Wisły.

Powieść ta jest utworem wybitnie tendencyjnym. Pan Jalu Kurek, bystry obserwator, niezły psycholog, urodzony reporter, przy okazji objektywnego przedstawienia katastrofy daje upust swojej niechęci do kleru katolickiego (do religji także), do militaryzmu, do ideologji mickiewiczowskiej.

W drugim rozdziale bohater zachodzi na chwilę do kościoła, po to tylko, aby go natychmiast opuścić:

„P. Leon opuścił wnet świątynię. Czuł się tam jak intruz. Nie dla niego rosło i wybuchało to piękno. To była msza dla sytych, uczta dla niepokrzywdzonych“.

Księża, występujący w powieści, są to figury antypatyczne. Tak samo antypatyczni, są tu oficerowie.

Pan Jalu Kurek rozumie konieczność istnienia armji. Stać go nawet na wcale grzeczny ukłon pod adresem ś. p. Marszałka Piłsudskiego. Ale normalną dyscyplinę żołnierską uważa za nonsens. Za krzywdę i zbrodnię niemal poczytuje kształcenie w żołnierzu gotowości bojowej. Armja — zdaniem pacyfisty Kurka — powinna służyć przedewszystkiem do tępienia analfabetyzmu i do robót publicznych:

„Zdaję sobie sprawę“ — powiada reprezentujący autora bohater powieści, podchorąży Makara —„że wojska jako takiego nie da się usunąć. Ale należy z wojska wyrwać nienawiść, wpajaną od początku, nienawiść do wroga, narazie urojonego ale już przewidywanego. W dotychczasowem pojęciu wojsko służy do zabijania nieprzyjaciela. Nie trzeba jednak żołnierzom przedstawiać uśmiercania jako sztuki celującej, w której muszą się kształcić. Trzeba hodować armję obywateli uświadomionych, czujących po ludzku. W razie wojny i tak wszyscy cywile będą się bili. Niech więc podczas pokoju rekruci w koszarach uczą się czytać, pisać, poznawać kraj, zbliżać się do bliźnich, nawiązać kontakt serdeczny ze społeczeństwem cywilnem. Oto jest system rozumnego i celowego kształcenia armji“.

Dla ateisty Kurka Mickiewicz jest „fałszywym prorokiem“. Fałszywym, ponieważ krzewił“ wiarę w niebo. W jednym z ostatnich rozdziałów powieści podchorąży Makara przez sen walczy z ideologją mickiewiczowską i odłamuje — w imieniu Kurka—wyciągnięte ku niebu ramię śpiżowemu posągowi Mickiewicza na rynku krakowskim.

Pomimo swojej (umiarkowanej zresztą, prawie sanacyjnej, rewolucyjności, pomimo taniego demagogizmu, pomimo licznych akcentów antypatycznych — książka Jalu Kurka nie jest pozbawiona literackich zalet. Kurek umie pisać wcale nieźle. Opis powodzi, typy chłopskie, stosunki wiejskie odmalowane zostały umiejętnie,

Z Kurkiem możemy się nie zgadzać, możemy się kłócić, możemy się nie lubić. Nie budzi w nas jednak odrazy. Wierzymy, że pisarz ten jest szczery. Mamy szacunek dla wielu jego przekonań. Podzielamy gorące współczucie Kurka dla chłopskiej nędzy. Bardzo się nam podoba entuzjazm,

z jakim Kurek popiera sprawę stworzenia sztucznego jeziora w Rożnowie, mającego zabezpieczyć Małopolskę Zachodnią przed przyszłemi powodziami. (S. G.)

*

Nakładem antykwarjatu „Lamus heraldyczny” (firma chrześcijańska) ukazał się katalog Nr. 2. Katalog zawiera sporo interesujących książek z zakresu historji, pamiętnikarstwa i heraldyki. Oprócz działu książek posiada także działy: rycin (rozmaite *varsaviana*), autografów i rękopisów, oraz numizmatyki. W dziale rękopisów notuje kilka dokumentów masońskich, a mianowicie: „Inwentarz byłej loży nazwiskiem Izydy”, wykaz effektów należących do loży ”Świątynia Stałości” i t. d. Z druków ciekawostek mamy tu L. Żuławskiego: „Wąsy pod względem przyrodzonym, ekonomicznym...” (W. P.)

FILM

EUROPA: „Piekło“ reż. Harry Lachman, film amerykański.

Harry Lachman ma w swoim dorobku kilka dobrych filmów, z których przedewszystkiem warto przypomnieć kulturalny i miły utwór: „Pod zielonym jaworem“. Nad „Piekłem“ zaciążyła mentalność amerykańska i to z wynikiem niekoniecznie dla filmu dodatnim.

Zaczyna się wcale zachęcająco: kilka brawurowych scen, dobre tempo, sporo ruchu i oto mamy podmalowany zręcznie obraz obyczajowy, ze środowiska amerykańskiego: dzieje pewnego gagatka, który się dorabia fortuny, postępując wedle utartego za Oceanem wzoru. To malowidło obyczajowe — powtarzam — w rezultacie wypadłoby zapewne całkiem interesująco, gdyż sposób jego wykonania posiada spore wartości filmowe, niestety, autorzy filmu zaczęli się bawić w kaznodziejstwo. Jakiś pastor, szlachetny jołop, kaznodzieja, metodysta, licho wie zresztą kto, pragnie nawracać ludzi w lunaparku. Ma tam swoją budę, w której uświadamia ludek, jakiemi to mękami w piekle grozi każdy grzech tu, na ziemi, popełniony. Wszystko — oprowadzając — ilustruje przykładami, z zainscenizowanego w swojej budzie „piekła“. Nasz bohater, a jego pomocnik, wlot chwyta ideję „piekła”, od strony *business*'u oczywiście, i na coraz bardziej udoskonalanem „piekle” robi interes. Dorabia się fortuny, buduje wielki rozrywkowy pałac-okręt. Na morzu następuje katastrofa: okręt pełen pijanych, bogatych i wyuzdanych pasażerów płonie, a na okręcie znajduje się ukochany synek przedsiębiorcy. Oczywiście widz, widząc (z filmu), że właściciel okrętu przez krzywdę ludzką doszedł do majątku, myśli sobie: jest w tem palec Boży.

I na tem film powinien poprzestać, pozwalając wyciągnąć ten wniosek widzowi. Niestety, co wystarcza nam, nie wystarcza widocznie prymitywnym naturom amerykańskim, więc wygarniają sobie, jak na łopacie, porcyjki kaznodziejstwa: patrzcie — zgrzeszył, dlatego tak został ukarany, więc moi drodzy nie grzeszcie, bo i wy... i t. d. Jednem słowem znowu pastor w lunaparku.

Wmontowana wizja piekła dantejskiego jest wkładką mechanicznie z całością związaną, a wyprowadzenie jej z książki z obrazkami byłoby odpowiednie w grotesce rysunkowej. Tu zaś wygląda naiwnie.

Scena pożaru zrobiona z rozmachem. W głównej roli b. dobry aktor, Spencer Tracy, i znakomicie, właśnie do tej roli, dobrany.

APOLLO: „Ostatni posterunek”, reż. M. Gasnier, film amerykański.

Znakomity, inteligentny i głęboki film, „Bengali”, cieszył się, jak wiadomo, ogromnem powodzeniem. Powodzenie to skłoniło producentów do wypuszczenia całej serji podobnych. Rzadki to wypadek jednak, by naśladownictwa przewyższały pierwowzór.

„Ostatni posterunek” należy właśnie do takiej serji. Mimo wszystko, dość tu walorów filmowych i szlachetnej tendencji, by uczynić z filmu właściwą pożywkę kulturalną dla szerokich mas, uczęszczających do kina. Akcja toczy się przeważnie w plenerach, dużo ruchu i przestrzeni, a sens utworu stawia na piedestale honor i bohaterstwo. „Bohaterami” dawnych, amerykańskich, sensacyjnych filmów byli bandyci. Teraz są nimi prawdziwi bohaterowie: żołnierze — patrjoci.

Czasy się zmieniają.

CASINO: „Burza nad światem“, film amerykański.

„Burza nad światem“ jest pewnego rodzaju reportażem i może być zarazem uważana za środek pomocny przy t. zw. badaniach psychotechnicznych. Puszczamy mianowicie na ekran, nie jakąś krótkometrażówkę, a film o pełnym metrażu, wyzuty całkowicie z fabuły, toku akcji, jej literackiej ciągłości — i badamy skalę zainteresowania widza, oraz jego wytrzymałość na tego rodzaju dawki.

Co do mnie, muszę przyznać, iż poddany tym badaniom, okazałem znużenie i koniec filmu powitałem nie bez pewnego zadowolenia. Czemu to przypisać? Czy natura ludzka nie znosi większej porcji obrazów, niż związanych ze sobą więzią jakiejś idei literackiej, czy też autor filmu nie kontrastował należycie poszczególnych scenek, pod względem ich zawartości plastycznej? Wydaje mi się, że i jedno i drugie potrosze. Monotonny zwłaszcza jest początek tego reportażu o wielkiej wojnie, opartego — jak nas zapewniają objaśnienia — na zdjęciach autentycznych. Zbyt dużo tu obrazów maszerujących wojsk, oraz rozmaitych rodzin cesarskich, schodzących ze schodów, lub ustawiających się na nich do fotografij. Żywiej zmontowane są sceny bitew na morzu, a najlepiej — momenty walk lotniczych, momenty posiadające już wyraźną dynamikę filmową.

Filmowi towarzyszy tekst, który wygłasza po polsku polski objaśniacz, oczywiście jak zawsze stylem b. poetycznym. Dodano też, wykonane u nas, na użytek krajowy zakończenie, obrazujące nasze uczestnictwo w bojach światowych i walkę o niepodległość, posługując się przytem częstogęsto wycinkami z kroniki Pata. Tu właśnie należy powiedzieć parę słów pod adresem reportaży. Reportaże chętnie uchodzą za szczyt objektywizmu, bo w nich, jak się powiada, przemawiają „nagle fakty“, zaś autor reportażu zeznaje, jak przed sądem: „całą prawdę i tylko prawdę“.

Nic podobnego. Reportaż może być (i bywa) najbardziej stronniczy, subjektywny, indywidualny. Z powodzi faktów autor reportażu wybiera przecież tylko niektóre, w jego mniemaniu najlepiej odtwarzające sedno rzeczy. W jego mniemaniu... A i sam wybór to również prawo sztuki. Sztuka, wybierając, stwarza hierarchję, której nie zna natura. Autor reportażu nie fotografuje natury, tylko wyławia z niej pewne fakty, a więc także wybiera.

Wybór pewnych tylko faktów, w części polskiej filmu, jest aż nadto wyraźny. Widzimy marszałka Piłsudskiego, w rozmaitych okresach jego działalności, a w przelotnej scence taktatu wersalskiego np., ani słówka o naszem w tem zdarzeniu uczestnictwie. Czyżby Polacy udziału w podpisywaniu tego traktatu nie brali? Nienajfortunniej wybrano, dla zadokumentowania triumfu oręża polskiego, wyprawę kijowską. Widok wojsk naszych w Żytomierzu niejednemu przypomni szybki i niezbyt zaszczytny nasz powrót stamtąd. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni — lepiej więc było pokazać ostateczne rozgromienie wroga nad Wisłą.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Pamiętnik Koła Kielczan. Tom VI (1933—1935), Kielce—Warszawa, 1935. Nakładem Koła Kielczan. S. 100.

Krasiński Zygmunt. Dzieła. Wydał, objaśnił i wstępem krytycznym opatrzył Tadeusz Pini. Tom I. Dzieła poetyckie. S. 464. Tom II. Listy wybrane. S. 412. (Portrety, autografy). Warszawa, 1935. Parnas Polski.

Wittlin Józef. Sól ziemi. I. Powieść. Warszawa, 1935. Rój.

Fiedler Arkady. Ryby śpiewają w Ukajali. Powieść. Warszawa, 1935. Rój.

Wiktor Jan. Orka na ugorze. Powieść. Książnica-Atlas (1935).

Nowakowski Zygmunt. Złotówka Manoela. Opowiadania dla młodzieży. Warszawa, 1935. Gebethner i Wolff.

Makuszyński Kornel. Wyprawa pod psem. Warszawa, 1935. Gebethner i Wolff.

Giżycki Jerzy. Na dalekim Zachodzie. Warszawa, 1935. Gebethner i Wolff. Z ilustr.

Makuszyński K. i Walentynowicz M. Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki. (Ilustracje z wierszykami). Warszawa. Gebethner i Wolff.

Markowski Bolesław. Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach. Serja druga 1831—1845. Warszawa, 1935 S. 51. (Odbito 50 egz.).

Kwartalnik Pedagogiczny nr. 4 z r. 1935.

Lud, organ Pol. Tow. Ludoznawczego. Tom XIII serji drugiej, zesz. 1—4. Z 21 ilustr., 4 tabl. i mapą. Lwów.

POKŁOSIE

„ASPIRANT”

Z RZECZOWNIKIEM „aspirant” kojarzy się pojęcie czegoś wzdychającego i sentymentalnego, to też nazwa rangi urzędowej „aspirant policji” wywołuje zawsze pewne zdziwienie. Ostatnie dni przyniosły nam jednak wiadomości, jak dalece sentymentalny charakter nazwy może odbiegać od rzeczywistości.

Dzienniki doniosły, iż sąd okręgowy we Lwowie skazał na rok więzienia, z zawieszeniem kary na 5 lat, aspiranta policji Stan. Szozdę za pobicie studenta, a okoliczności sprawy były następujące: W czasie jakichś zaburzeń studenckich, jakich, jak wiadomo, w naszych czasach nie brak, aspirant policji Szozda, pełniący służbę koło politechniki, odezwał się ubliżająco pod adresem grupy studentów. Jeden z nich podszedł do aspiranta i przedstawiwszy się, jako oficer rezerwy, zażądał satysfakcji. Na to aspirant policji polecił studentowi pójść ze sobą do komisarjatu i tam na osobności pobił go pięścią i pałką gumową. Gdy koledzy, czekający przed komisarjatem, zaniepokojeni długiem nieukazywaniem się studenta, zaczęli się domagać wpuszczenia ich do lokalu, aspirant na czele kilku policjantów rozpędził ich...

Historja krótka, ale daje wiele do myślenia, zwłaszcza we Lwowie, gdzie ludzie napróżno odgrzebywali swe wspomnienia z kilkudziesięciu lat wstecz, żeby znaleźć coś w swej brutalności chociażby zbliżonego do tej potwornej historji... Przed wojną w b. Galicji uskarżano się często na to, że policja w Krakowie, Przemyślu i Lwowie nie jest, jak w innych miastach, municypalna, jeno podlega organizacyjnie wojsku (rząd motywował to fortecznym i strategicznym charakterem tych miast), co sprowadza nieraz nieodpowiednie traktowanie obywatela przez rekrutowany w zwykły sposób, a nie dobierany specjalnie niższy personel policyjny. Ale przecież czegoś podobnego i wówczas poprostu być nie mogło.

Przed paru laty obiegła prasę wiadomość o przemówieniu ówczesnego głównego komendanta policji do wychowanków oficerskiej szkoły policyjnej, w którem była mowa o biciu i umiejętności bicia. Jeżeli tak istotnie było, to możnaby powiedzieć, że w tym wypadku nauka w las nie poszła...

Sąd wyznaczył słusznie surową karę, uznał jednak za wskazane złagodzić ją przez zawieszenie wykonania na pięć lat. Opinja radaby niewątpliwie dowiedzieć się, jak ten wyrok odbił się na karjerze służbowej p. Szozdy. Czy aspiracje jego zostaną uwieńczone trwałym sukcesem, czy też na aspiracjach się skończy? Chyba lepiej by było, gdyby poszedł szukać zastosowania swych zdolności gdzieindziej, nie w służbie publicznej. Nie chcielibyśmy, żeby do funkcjonarjuszy policji przylgnęła nazwa, zaczerpnięta np. z „Rewizora“ Gogola.

Niedawno ogłoszono okólnik głównego komendanta policji, zwracający uwagę podwładnych na niebezpieczeństwa życia nad stan, kupowania luksusowych artykułów codziennego użytku, popadania w długi i t. d. Okólnik bardzo słuszny, a o ile jest na czasie, to naturalnie może sądzić najlepiej sama komenda, znająca dobrze życie swego środowiska. Przez przeciętnego obywatela okólnik przyjęty został niewątpliwie z zadowoleniem. Bo mimo wszelkiej sympatji dla służby bezpieczeństwa, dawały się uczuwać pewne wątpliwości. Powstawała tu i owdzie obawa przed ukazaniem się typu, przypominającego dawnych królów cyrkułu, pamiętnych z triumfalnych obchodów swych dzierżaw. Gdy wchodził do restauracji, gospodarz w ukłonach i lansadach prowadził go do bufetu:

— Może kawiorku — proponuje — świeżutki...

— Ach, wciąż ten kawior i kawior!... Sprzykrzył mi się już ten kawior!...

Powstania takiego typu też oczywiście niktby sobie nie życzył, a narodziny jego, jak również i tego poprzedniego, mają źródło wspólne, w bezkarności. Policja ma wiele pokus do zwalczania, a nie ulec im może tylko przy bardzo pilnej i nieustannej czujności i kontroli. A już dla sądownie przekonanych o winie i skazanych nie powinno być pobłażania. Niech aspirują gdzieindziej. Policja ma wielką władzę dyskrecjonalną, musi do niej, przedewszystkiem w osobach wyższego personelu, moralnie dorastać.

ARGUS

NA MARGINESIE

Pisząc o ustąpieniu dyrektora departamentu w ministerstwie oświaty, p. Kawałkowskiego, dzienniki wyjaśniają, że przyczyną tej dymisji jest bankructwo stosowanego dotychczas systemu polityki „na odcinku młodzieżowym”. Ale przecież — mówiąc tymże stylem oficjalnym — system powyższy zbankrutował także „na odcinku dorosłowym”... Możeby wyciągnąć — wobec tego — dalsze konsekwencje...

*

W dziennikach czytamy:

„W warszawskim ogrodzie zoologicznym przyszła na świat małpa abisyńska z gatunku pawjanów-płaszczowych. Przyjście na świat małego pawjana jest tem ciekawsze, iż ojciec jego został pozyskany do ogrodu zoologicznego po pozbawieniu go części gruczołów dla operacji odmładzającej, która odbyła się w Warszawie.

Małpa ta jest pierwszą z tego gatunku, urodzoną w Warszawie”.

Zuch małpa! Ale jak się miewa nasz staruszek? Bo wydaje się, że małpa wzięła go na kawał. Zresztą lepiej, że pawjan urodził się w zoologu, niż gdyby się miał urodzić staruszkowi. Dosyć już mamy pawjanów pod płaszczykiem człowieka.

*

Jeden z posłów przytoczył na posiedzeniu Sejmu jako skandal, że opłata kolejowa za przewiezienie bydlęcia z kresów wschodnich na Śląsk kosztuje tyle, co wynosi bilet pasażerski pierwszej klasy.

Odpowiedziano mu: popierwsze, krowa nie jest posłem, żeby ją wozić darmo, a powtóre, niech pan poseł weźmie z sobą krowę do pierwszej klasy, to mu zajmie cały przedział. Opłata jest właściwie zamała.

*

Dzienniki rozpisują się o skardze, jaką wnieśli do ministerjum opieki społecznej pracownicy dwu wielkich zakładów gastronomicznych, będących zarazem lokalami zabaw nocnych, że nie dostają od właścicieli wynagrodzenia. Po zbadaniu sprawy okazało się, że zakłady te zrujnowane zostały finansowo przez pewnych klijentów, którzy bawią się na kredyt i nie płacą.

„Słowo Pomorskie“ (nr. 274) na marginesie tej wiadomości pisze:

„Podobny wypadek zdarzył się przed paru laty. Wówczas jedna z instytucyj finansowych uregulowała rachunki restauracyjne, a od zalegających dłużników wzięła weksle. Być może, że i tym razem sprawa będzie uregulowana w podobny sposób. Jak wiadomo, knajpy te są ulubionemi lokalami elity“.

Nazwiska żądnych zabawy wybrańców krążą po kraju. To najbardziej imponuje zubożałemu społeczeństwu, że zabawy są tak huczne, iż nie wystarczają na nie wielkie dochody tych panów.

BŁĘDY DRUKU. W artykule „Rozproszenie jako kalectwo umysłowe” w nr. 51 str. 784 nazwisko Fichmann błędnie złożono jako „Siehmann”. Na str. 785 w. 10 od góry zam. „metami” — powinno być „rzeczami”. Tamże w. 5 od dołu zam. „Namor” powinno być „Hanoar”. Tamże w. 1 od dołu zam. „starego” powinno być „gotowego”. W szpalcie następnej tamże w. 1 od góry zam. „duchowego” powinno być „surowego”.

W notatce z „Ruchu wydawniczego“ nazwisko autora powieści pt. „*Alma mater*“, zamiast Janusz Rabski, wydrukowano mylnie: Ralski.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.